MANUSCRIPTA
INSTITUTI OSSOLINIANI
III. 13154

4 1

Jedna wieś!

Czas pracuje bez przerwy, pracuje stale z planem, z żelazną wytrwałością i konsekwencją. Buduje i niszczy, tworzy największe dzieła i potęgi, aby je zwalić w gruzy, wynosi na szczyty sławy i wielkości, aby potem zrzucić w bezdenną otchłań zapomnienia. Żadna siła ziemska nie jest w stanie pokierować jego drogami. Może to uczynić jeden Bóg!

W olbrzymim korowodzie, choć nie przez wszystkich widzialnym przesuwają się całe ludzkie pokolenia, przechodzą liczne ~~tutaj~~ już nie setki, nie tysiące, ale miliony. Przyszli, byli, włodarzyli w biedzie i znoju, a czasem i radości życie prowadzili: światłem i życiem się cieszyli. A potem odeszli aby zrobić miejsce dla innych. Zjawili się na świat bez swej woli i bez swej woli świat ten opuścić musieli. Przybycie ich zanotowano w księdze parafialnej, posługiwano się nimi, a wkońcu zgon ich stwierdzono. Mało się kto tem zmartwił. Nie będzie dziury w niebie, a tem mniej na ziemi. Ostatnia smutna wędrówka na cmentarz parafialny, jeszcze dzwony, smętne pieśni pożegnalne, grudka ziemi na trumnę, objęcie w posiadanie zimnego mieszkania, ale i ono zbyt pewnem nie jest, bo jakimś czasie trzeba je odstąpić komu innemu. Wiatry pomiotą prochy, a życie pójdzie dalej. Należy temu życiu uważniej się przyjrzeć. Ta sama wieś, te same rody i nazwy, te same zwyczaje, cnoty, zalety, błędy, narowy. Te same drogi, granice, pola i ścieżyny. Te same kwiaty, rosa i słońce. Te same śpiewy, smutki i wesela. Tak na oko. W rzeczywistości zaś są wielkie głębokie różnica. Dużo przyszło rzeczy nowych, wiele umarli ze sobą zabrali. A przecież to wszystko własność licznych pokoleń stanowi. Wszyscy, czy pierwsi umarli i ci co jeszcze są żywi z jednego pochodzą pnia, z tej samej ulepieni gliny. Jedni stanowią przeszłość, drudzy teraźniejszość, a inni jeszcze przyszłość stanowić będą. Oglądnijmy się nieco myślą za siebie. Dajmy obraz tego innym, na co sami mieliśmy szczęście, czy nieszczęście patrzeć. Cieszyć się i smucić.

13154/III

13154

BIBL. Z.N.IM. OSSOLIŃSKICH

2

Jedna wieś I, II Ustęp

Jedna wieś I Ustęp

Wymiary	8/0	8/1	8/2	8/3	8/4
długość dna	40	46	49	55	58 cm.
szerokość dna	29	32	33	37	38 "
długość górą	63	67	75	79	83 "
szerokość górą	47	49	54	56	59 "
cała wysokość kosza	27	27	29	34	35 "

Przeciętny zysk brutto / prócz [illegible] na wik/linie /

46%

I

Gmina Wierzchosławice

Gmina Wierzchosławice należąc do powiatu tarno-
wskiego stanowi cypel przez powiat brzeski z trzech stron
okolony, z czwartej strony graniczy z rzeką Dunajcem i kil-
ku wsiami tarnowskiemi. Legenda obecnie nieco zapom-
niana, z dawnej opowieści powtarzana głosi: że Wierzchosła-
wice swój początek i nazwę wzięły od świętego Wojciecha
który w czasie olbrzymiej powodzi na wierzchołkach drzew
w lasach tutejszych się ratując, przez pewien czas przebywał,
osadę i parafię założył. Że wielką część gruntów Wierzchosławi-
ce zajmowały lasy świadczą nazwy części wsi jak: Borowice,
Olszówka, Podbór, skamieniałe drzewo dębowe w Gosławicach,
resztki pni i korzeni sosnowych często wykopywanych na zie-
miach piaszczystych do gminy należących.

Wierzchosławice liczą około 400 domów i około 2000 mie-
szkańców. Używam określenia około, albowiem cyfry te wy-
kazują stałe wahania, a częściej się cofają, niż idą do góry, pod-
noszą. Obecnie też stoi kilkadziesiąt domów niezamieszkanych
Gmina składa się ze sześciu odrębnych przysiołków, mają-
cych różne swoje właściwości. Są nimi: właściwe Wierzcho-
sławice nazywane „Wsią" Gosławice, Wola, Dwudniaki, Trzed-
niaki i Sujec nazywany także Zawodziem. Dwudniaki i
Trzedniaki wzięły swoje nazwy od ilości dni pańszczyzny
przez poszczególne gospodarstwa dworowi w tygodniu odrabianej.
Od pańszczyzny był wolny sołtys jeżdżący z panami a Wola
odrabiała ją księdzu proboszczowi.

Obszar gruntów użytkowych posiadanych przez gminę
i mieszkańców wynosi przeszło dwa tysiące morgów.
Każdy zaś z przysiołków wchodzących w skład gminy posia-
da też pastwiska na gminę, przysiołek, lub poszczególnych
gospodarzy zapisane. Dawało to powód do kłótni, gdyż zapi-
sani w hipotece używania innym niezapisanym wzbraniali.
Dotyczyło to przeważnie Komorników i tak zwanych przyżenionych.

Las który gmina otrzymała od Księcia Sanguszki za pra-
wa serwitutowe, został przed kilkudziesięciu laty za bezcen
sprzedany. Wraz z prawami serwitutowemi odebrano też chło-
pom łąki w lesie, dając im w zamian za nie po kawałku najgor-
szego gruntu jaki Sanguszkowie posiadali. Ten grunt służą-
cy jako wynagrodzenie za łąki też został chłopom zabrany.

W gminie znajdują się grunta różnej jakości począwszy od
od bogatych rędzin i urodzajnych, a skończywszy na lekkich
piaskach, ciężkich glinach i łąkach podmokłych. Cała Wieś, a
szczególnie Gosławice mają grunta pszenne, buraczane

II. Wola piaski żytne, urodzajne to reszta przysiółków zaj-
muje grunta liche, gdzie często brat brata nie widział. Gru
Grunta te są przeważnie koło lasów położone. Stąd też
te połacie nazywano Podlesiem, a mieszkańców trzech przy-
siółków zwano pogardliwie grzybianami. Podlesianami.
Bardzo nierówny był też podział gruntów dotyczący go-
spodarzy na poszczególnych przysiółkach. Wieś i Gostawice po-
siadały gospodarstwa wielkie zwane rolami albo półrol-
kami. Wola i Szyje zbliżyły się nieco do nich. Średniacy
mieli od 5 do 12 morgów. Dwuzdniaczanie od 5 do 6 mor-
gów chociaż nieco lepszej ziemi.
Ponieważ jaki pan taki bywa kram, jaka ziemia takie
i zbiory. Podlesianie klepali wiecznie biedę, patrząc z żalem
i zazdrością na tych co im się lepiej powodzić musiało. Odwro-
tnie Kmiecie Wsiowscy i gostawscy dziadów Podleskich trak-
towali z góry, uważając siebie za zupełnie innych ludzi.
Głoszono też powszechnie że w Gostawicach lepiej jest siedzieć
na wierzbie niż na Podlesiu na gruncie. Było w tem powie-
dzeniu nie mało słuszności. Kmiecie mieli dobry byt, oni
byli wójtami i sołtysami – Kmiecie rządzili gminą, robiąc co
im się żywnie podobało. Podlesianie tonęli w nędzy i poniżeniu
uważając za wielkie szczęście, gdy który z Kmieci dał im zagon
na odrobek, lub podał palec na przywitanie. Ten zaś odro-
bek stawał się katorgą, rzadko już w tenczas spotykaną. Wyzysk.
Za cztero skibowy zagonek pod marchew który się dzia-
dom podleskim zachciało musieli oni odrabiać cztery
dni i to zawsze przy żniwie. Dzień zaś żniwny zaczy-
nał się przed wschodem słońca i trwał do zmroku, z ma-
łemi przestankami na posiłek, którego zmordowany żni-
wiarz ani do ust donieść, ani przełknąć nie mógł. Parobek
lub wynajęty pracownik starał się o to, by żaden z tych nieszczę-
śliwców przez cały dzień ani chwili się nie sprostował. Nie
dziwnego że oni żniwom niewolniczej, oczekiwali na ten czas
ze strachem powtarzając, jeśli się ma iść do Gostawic do ro-
boty, to się przed tem trzeba wyspowiadać, bo się może nie
wrócić z tej roboty żywy. Nie mogąc im dać sobie rady za-
gon odbierano. Nie po- mogły żadne prośby, ani narzekania.

Kmiecie i dziady.

III Tak było długo i tak było dawniej. Obecnie wszystko się zmieniło i to zmieniło się gruntownie. Kmiece role rozdrobione, dawni potentaci zniknęli; ich następcy poszli niemal na dziady, nie umiejąc się utrzymać na powierzchni. Zaś dziady podleskie siedzące na gruntach odwodnionych i dorabiając co się da mają się dziś lepiej. Gdy dawniej podanie palca kmiecego na przywitanie uważano za wielki zaszczyt, teraz nikt nie spojrzy w tamtą stronę. Owszem od lat coraz niby kmiecie chyłkiem biegną na Podlesie aby jaką złotówkę pożyczyć; Okazało się też że dla marchwi i kapusty pszenicy, jęczmienia wcale egipskiej ziemi nie potrzeba. 5

Wierzchosławice

Dwór Jakto już na wstępie wspomniałem w Wierzchosławicach znajduje się obszar dworski należący do ks. ks. Sanguszków. Lasy liczą 4000 morgów, dwór około 300 morgów, przez obecnego właściciela pod naciskiem rządu częściowo rozparcelowany. (Pod moim naciskiem i staraniem)

Kar. Na terenie wsi znajdowało się ongiś 7 dworskich karczem, jedna prawie przed drzwiami kościelnemi. Wszystkie były przez żydów dzierżawione. Obecnie został jeden wyszynk, także w niewielkiej odległości od kościoła. Jest to zostałość reżimu zaborczego, wynaradawiającego naszych ludzi. Gdyby nie on Wierzchosławice gruntownie by otrzeźwiały. A może by i zmądrzały.

Kółko Kółko rolnicze odnowione przeze mnie i z całym wysiłkiem podtrzymywane posiada własny dom, sklepik, szopę na narzędzia rolnicze, wagę bydlęcą, 2 trjery, siewniki, sikawkę ogniową i t.p.

Kasa Kasa Stefczyka założona przeze mnie na kilka lat przed wojną światową i rozwijająca się jak najlepiej, obecnie dzięki niesumienności dłużników ledwie wegetuje. Podtrzymuje się ją z nadzieją na lepsze czasy.

Szkoła Szkoła ludowa mieści się w kilku budynkach oczekując na ukończenie gmachu, w którym wszystkie dzieci mogłyby się pomieścić.

Dom W gminie znajduje się dom Ludowy Wincentego Witosa. Stanowi on własność gminy, aczkolwiek ~~został zbudowany~~ stanął ofiarnością ludzi prywatnych do których nie chwaląc się i ja materiałem. Sama gmina

4/a IV najmniej dając, największy zyskało. Z dużą pomocą
przyszli nam państwo Hamerlingowie zarówno w budo-
wie domu jak i w urządzeniu. Mimowolnym dobroczyń-
III cą stał się też gospodarz miejscowy Wincenty Stawarz, gdyż
wkładów jego w budowę w sumie paru tysięcy złotych nie-
ma mu kto zwrócić. Skargi sądowej sam mu odradziłem.

Młyn Do niedawna istniała Spółka młynarska, będąca
właścicielką młyna o charakterze gospodarskim. Spółka
liczyła ponad 70 udziałowców, co było jej nieszczęściem
bo każdy chciał mleć po swojemu, brać co się dało ale nic
nie wkładać. Mając tego wszystkiego dość doprowadziłem do
sprzedaży, aby włożone pieniądze, choć częściowo uratować.
Obecnie jest młyn własnością Romana Grosnyki.

Cement Spółka wyrobów betonowych „Dunajec" została w o-
kresie kryzysu rozwiązana i zlikwidowana. Spólnicy
wszystko stracili, aby likwidator Jan Padło z Żelowic sa-
łem zarobił. Zresztą takie były czasy i zwyczaje.

[illegible] Wypływające z lasów Dolańskiego i Sanguszki mar-
ne potoki zalewały nieraz kilkakrotnie niżej położo-
ne obszary gruntów, niosąc szkody i zniszczenie. Prze-
prowadzenie kanału ulgi biegnącego od Wojnicza aż do
Kisieliny zmieniło położenie. Kanał ten nie tylko
zabiera wodę potokom, ale także osusza wszystkie grun-
ta koło lasu i jego koryta położone. Jest znacznie le-
piej, ale nie jest dobrze. Szanownym sąsiadom dla do-
bra których kanał został bez ich dopłaty zbudowany
niechce się pokopać małych rowków doprowadzających,
zabierających wszystkie wody do kanału. Wolą moknąć,
niż tę drobną robotę [illegible] wykonać. (Dla ścisłości zazna-
czam, że ów kanał „ulgi" został przeprowadzony na
podstawie uchwały Sejmu galicyjskiego przy energicz-
nem poparciu dyrektora Biura melioracyjnego p. Ko-
ndiora, częściowo nawet przez za polskie pieniądze.
Był zdziwiony że nikt z interesowanych nawet mu
Bóg zapłać nie powiedział. Ja się wcale nie dziwiłem
znając dobrze swoich bliższych i dalszych sąsiadów,
Prawowici, oszczędni, ale tępi i samolubni, jak mało.
Wszystko co zrobiono dla nich spłynęło jak woda
po gęsiach kąpiących się w stawie.

Ochotnicza straż ogniowa należy do najlepszych
w okolicy, przechodzi różne koleje i przeszkody ze strony
władz nadrzędnych.

Krowa i szkoła

5o Lat temu 60 z niewielkim dokładem. Na porządku dziennym naszych rodzinno-gospodarczych zagadnień stanęło pytanie: Kto będzie pasał krowę jak ja pójdę do szkoły? ~~Ale~~ Było to sprawa bardzo dużej wagi. Moi rówieśnicy siedzieli po dwa lata w szkole, a przy paszeniu krowy nikt mię nie mógł należycie zastąpić. Trzeba było paść na powrozie, dwa razy dnia krowę oprowadzić po wszystkich rowach przydrożnych, ugorach, miedzach swoich i obcych, chwastach narowi, na pastwisko broń Boże krowy nie puszczać, mogła bowiem „mleko zgubić i rogów postradać." A krowa była „rozbuchana i awanturniczo nastawiona. Wczesna zima przyniosła rozwiązanie. „Urocha" poszła do stajni i mnie wyprawiono do szkoły. Wyprawa polegała na tym że ojciec sporządził mi buty i ubranie ze „starzyzny, matka uszyła torbę z płótna, kupiła tabliczkę i rysik, a idąc zimną wzięła czerwonego koguta „dyrektorowi".

Naukę połykałem i chorobliwą chciwością, czytanie książek otwierało przede mną nowe nieznane horyzonty. Wszystko mię interesowało i wszystko widziałem inaczej. W pierwszym rzędzie to co mię otaczało i z czym się codziennie stykać musiałem.

Klęski, głód, choroby

Był to okres nędzy i niedostatku, jakie nastąpiły po latach nieurodzaju, klęsk elementarnych i chorób zaraźliwych nagminnie i bezapelacyjnie panujących. Masowo przerzedzoną ludność trapiła odra bardzo często śmiertelna, dreszcz świerzb, panowały się jakieś choroby nieznane, a najwięcej czwartaczka (?) znęcała się nad młodzieżą. Idąc przez wieś widziało się przed każdym prawie domem ludzi opatulonych, szukających słonka i dzwoniących zębami. Nieraz było ich kilkoro. Kołtun, strupy, biegunka miały też swoje ofiary. Leczono się jak kto umiał, dziwnemi sposobami, prawie zawsze zawodnemi.

Podział

Wieś dzieliła się wyraźnie na dwie klasy: gospodarzy gruntowych i komorników. Gospodarze budowali się na swoich gruntach rzadko na błoniu, komornicy na placach gminnych przez wójta i sąsiadów im udzielonych. Za małą zapłatą, za darmo, a najczęściej za piwo.

6/a 8

Gospodarze siedzieli na swoim z dziada-pradziada. Komornicy rekrutowali się z parobków, obcych przyżenionych, a także z synów gospodarskich, którym się grunta nie dostało, albo go gospodarstwo postradali.

Zabudowania gospodarskie składały się przeważnie z jednej izby, sieni i komory. Domy dwuizbowe należały do rzadkości, często pod jednym dachem mieścili się ludzie i cała chudoba. Świniątkom chlewy wtulone w kąt sieni; do ściany domu przylepiano szopę służącą do przechowywania narzędzi i drzewa. Zamożniejsi stawiali stodoły o dwóch sąsiekach, mniej zamożni o jednym i boisku, a najmniej „zamożni" przytulali jeden sąsiek przy domu, lub stajni. Budynki z czasów pańszczyźnianych były zwykle bardzo obszerne z wystającemi węgłami, z grubego drzewa zbudowane. Komornicy chłodnych przeważnie maleńkie domki z jednej izdebki i szopki złożone. Jeśli mieli jakie kopy zboża dzierżawili zazwyczaj od bogatszych. Dawało to powód do posądzeń i kłótni. Gospodarz podejrzewał komornika o naruszenie jego zboża, komornik robił to samo. Często się okradali, ale najczęściej było to prawdziwe.

Dachy budowano spiczaste dla lepszego ścieku. Krokwie wsparto na belkach podłużnych, łaty co 12–14 cali przybijano kołkami dębowemi, dach pokrywano słomą w postaci specjalnych wiązek zwanych kitkami lub kiciorkami. Kiciorki dzieliły się na dachówki, włochatki lub kręconki stosownie do potrzeby. Na wierzchu budynków układano kalenicę ze starych kiciorek i suchego perzu. Jeżeli poszycie dobrze ułożono mogła ona wytrwać 20 do 30 lat, a nawet więcej.

W domu robiono maleńkie okienka, nigdy nie otwierane aby do izby zimno nie leciało. Ściany domu okładano słomą, perzem, mchem leśnym. Koło drzwi i okien stawiano snopy słomy niby żołnierzy, którzy mieli pilnować przed mrozem i wiatrami. Drzwi zawieszono na tak zwanych ściężajach. Skrzypiały one też niemiłosiernie za każdem poruszeniem. Na powałę domu z grubych tarcic ułożoną kładziono dla ciepła grubą warstwę zmieszanej gliny, strych zaś górą napełniano sianem. Komin składał się ze 4 żerdek zwanych ziobrami gęsto bijanemi z gliny i forsztów wyplecionemi. Podłoga ubita z iłu śkliła się od mokra, wskutek wilgoci gruntu i rozlewanych „chlapów". Gdzieniegdzie kurzyła się jak mąki, piaszczysty gościniec.

7/a <u>Najmniej trzecią</u> część izby zajmowała nalepa, piec piekarski i komin, na którym dla pośpiechu gotowano, a zwłaszcza długich nocy świecono szczypami. ~~[illegible]~~ Szpary w ścianach domu zalepiano gliną, pobielano czasem wapnem, a na każdą zimę znowu poprawiano. W czasie wielkich mrozów chudobę całą w izbie umieszczano, a ponadto na oknach stawiano garnki z gorącą wodą, żeby się pozbyć lodu.

<u>Umeblowanie</u> stanowił stół o czterech nogach po dalekich przodkach odziedziczony, ławy i stołki. Koło ściany ustawione łóżka słomą najeżone, czasem płachtą zasłane i poduszkami wyłożone, solniczki, cebrzyków rzeżką napełnionych, starego zegara oblepionego muchami, i o Pomimo mu zawsze czegoś brakowało, Kogut spełniał służbę jemu przynależną. Ściany były gęsto obwieszone obrazami zakupionemi na różnych odpustach i w różnych odstępach czasu, przeważnie nie zasłonych. Obrazów o motywach patriotycznych prawie nigdzie nie widziałem.

Bardzo ważną rolę odgrywała komora. Tam stały skrzynie z kościelnemi "łachami", sąsieki ze zbożem, beczki z kapustą kiszoną, na wierzchołkach był chleb, słonina i sadło, u stragara powieszone. Była ona też specjalnie zabezpieczona. Drzwi do komory najczęściej prowadziły za-zby, grubą zasuwą i kłódką zamykane. Złodziej mógł się tylko podkopać, co było trudne do wykonania ze względu na podłogę w komorze drewnianą. Widły, widełki, gnojnice, pułkoszki, pług, koła stawiało się koło ściany, aby je od gnicia uchronić. Ziarno umieszczano przeważnie w izbie, rzadziej w komorze lub sieni. W stajni nie było ani światła ani przewiewu. W zimie zamykano je jak najszczelniej przed zimnem, w lecie przed muchami, które się pchały gromadami.

<u>Na małych zaściankach</u> i prawie zawsze błotnistych podwórzach tarzały się świnie, paprały gęsi, wałęsały się ~~gęsi~~ kaczki ~~i gęsi~~ i kury. Płoty grodzono wyłącznie koło okien, aby ludzka gadzina nie robiła szkody, a świnie nie chodziły na "dzień dobry". W ogrodzie robiło się lochy i kopce na ziemniaki; czasem wsadziło jakieś drzewo, a resztę ziemia leżała odłogiem, zarośnięta pokrzywą i różnemi zielskami. Gnojówka szła do rowu, albo się rozlewała po podwórzu, ~~stojąc się tylko zawsze~~. Na wsi królowały wierzba, olszyna i brzoza, czasem dało się widzieć drzewo owocowe przez przodków zasadzone. Koło figur

8) stały lipy także przeważnie przez przodków zasadzone.

a) Główną część ubioru męskiego stanowiły: długi biały Kożuch i buty palone, albo węgierskie. Kupowane na jarmarku płócienica, portki i koszula z własnego ~~w domu~~ płótna robione. Rzadkością były sukmany. Kamizelki nie używano wcale. Na święto ubierano płóciankę prasowaną, lub Kaftan gęsto ozdobami obwiedziony. Świątecznym nakryciem głowy stanowiła czerwona Krakuska, na codzień: baranica, czapka z białego sukna, okrągła, nazywana żernami; Kapelusz słomiany z żytnich lub pszenicznych plecionek wykonany. Spodnie płócienne noszono na rzemyku. Koszulę pod szyją przeważnie kolorowym rzemykiem zapinano. Na wierzch ubrania przychodził szeroki, skórzany pas zwany „Kaletą". Służył on do przyciśnięcia ubrania do ciała i przechowania drobnych pieniędzy. Zużyte Kożuchy i inne części ubrania przerabiano dla dzieci, ~~lub~~ domokrążnym żydom Kuśnierom sprzedawano lub do naprawy dawano. Wierzchosławice i całą okolicę obsługiwał pod tym względem żyd-Kuśnierz ze Żabna nazywany Cyną. Miał być bardzo sumienny. Kożuch, sukmana, płótnianka, czapka czerwona kosztowały bardzo wiele, ale też trwały latami.

Ubiory Kobiece nie wiele się różniły od męskich i równie były Kosztowne. Bogatsze gospodynie kupowały futra grube chustki wełniane, tak „na siebie jak i na głowę". Młodsze sadziły się na Krakowskie stroje" i trzewiki sznurowane. Ubiorów bogatszych gospodyń dopełniały Korale za grube pieniądze sprawione i tylko na niektóre uroczystości używane, przechodzące z matki na córkę, przez kilka pokoleń.

Można sobie wyobrazić jak to wyglądało gdy te piękne wspaniałe i zdobne stroje zastąpiono starymi płaszczami żołnierskimi i różnymi pludrami zakupionemi u Żydów w Tarnowie. Owczy pęd był tak silny, że go nie były wstanie zatrzymać liczne choroby przyniesione z zakupioną starzyzną miastową. Koniec końcem zginęły dawne śliczne stroje, a z nimi upadła zupełnie hodowla lnu i konopi.

9/a **W rodzinach** chłopskich panowały jeszcze stosunki na wskroś patryarchalne. Ojciec był nie tylko naprawdę głową domu, ale i panem wszystkiego co do gospodarstwa należało. Od jego woli wszystko zależało. Wszystko też było jego własnością począwszy od gruntu, a skończywszy na grabiach, widłach, czy też grudki soli. Rzadko się trafiało aby gospodyni chodziła w spodniach i to nawet wtenczas kiedy gospodarz był do niej i do gruntu przyżeniony. Często wyjątki stanowiło tak zwane babskie gospodarstwo.

Syn dorosły nawet już po służbie wojskowej umiejący dużo opowiadać o swoich junackich wyczynach nie ośmielił się w obecności ojca zapalić papierosa, albo fajki; a jeśli od ojca dostał poplatę, albo pięścią po gębie, choćby zupełnie niewinnie, to ani mruknął idąc w swoją stronę, aby się trochę podąsać. Bez zgody ojców rzadko też który wyszedł na granie, do karczmy albo do sąsiada.

Nadzór nad córkami przeważnie sprawowała matka, nie żałując zarnówki jeśli zaszła potrzeba. Zadanie jej nie było wcale łatwe, bo z jednej strony wypadało aby się córka ludziom pokazała, z drugiej należało dbać o jej cnotę i honor rodziny. Źle było gdy matka udawać się musiała o pomoc do ojca, bo wtenczas surowy powróz był w robocie, zostawiając długi czas na plecach sine plamy, jako dowody ojcowskiego gniewu. Na lamenty córek że inne dziewczyny chodzą i ludzie je biorą, a one w domu pleśnieją i porosną starymi dziewkami była odpowiedź: Siedź w kącie ujmę ci." Jak będziesz mieć majątek to cię "zapieca wyciągną. Dziadówki nikt nie potrzebuje chyba na jedną noc." Na chłopaków matki mniej zwracały uwagi twierdząc z domu: oni mi bajduchów nie przyniosą".

Młodzież mogła sobie użyć do woli na weselach u sąsiadów i krewnych, na graniach, na które ojcowie z nią chodzili. Oczywiście na czas ograniczony.

Przez długi czas utrzymywała się niepodzielność gruntu mimo że ustawa na dzielenie pozwalała. Ojcowie mający więcej dzieci starali się coś przykupić, syna do gruntu przyżenić, córkom dać wiano w pieniądzach, inwentarzu, wypchnąć z wody, a w najgorszym razie dać do śmierci stajenko na końcu gruntu położone.

12 10/ Od jakiegoś czasu jakby zaraźliwe powietrze wio-
nęło. Gruntami zaczęło dzielić jak bochenek chleba,
nie patrząc na następstwa tak bardzo szkodliwe.

Małżeństwa przeważnie kojarzyli ojcowie. Układy
robiono i targi prowadzono pomiędzy równymi mająt-
kiem i pochodzeniem. Syn gospodarski nie mógł
brać dziadówki, dziad nie mógł pomyśleć o córce gospo-
darza. Młodzi nie mieli tu nic do powiedzenia.
Tak ojcowie orzekli i tak musiało być. Inaczej mu-
sieliby się z gruntem i gospodarstwem pożegnać. Że nie-
raz stadło w ten sposób skojarzone żyło jak pies z kotem
we wiecznej wojnie, że córka zbita i sponiewierana
wnet po ślubie uciekała do ojców, to nikogo nie prze-
rażało. Ojcowie trochę nad nią pobiadali, ~~perswa~~
perswadując że wrócić do męża trzeba, bo ona nie jest ani
pierwsza ani ostatnia a co Bóg złączył, to ludzie roz-
łączać nie mogą. I tak się działo. Ludzie się wyzło-
ścili, znienawidzili, truli sobie każdą godzinę, ale ze
sobą siedzieli; dzieci nawzajem płodzili i ciężkie jarzmo do koń-
ca życia ciągnęli. Nieraz przychodziły krwawe zmiany

/. /

Pominąwszy lata głodowe tak bardzo częste,
zbiory z gruntu w latach normalnych nie wystar-
czały na wyżywienie, obsiew i utrzymanie rodziny.
Gospodarze byli szczęśliwi jeśli nie musieli dużo doku-
powac, żeby jako tako koniec z końcem związać trze-
ba było na jedzeniu oszczędzać i za zarobkiem się ubijać.
Gospodarz wyjeżdżał z leśniczem, czasem na jarmark z Ży-
dami; odwoził kloce na Raby, zaorał parę zagonów ubo-
żniejszemu sąsiadowi; dzieci wyleciały do robót w lesie, sadziemia-
zników we dworze, najwięcej jednak do żniwa, kopa-
nia ziemniaków i buraków na twardej jesieni, gdy już nic
było roboty u siebie. Do robót tych krótko trwających i jak
najgorzej opłacanych dostawało się tylko wybranym. Z tłumów
~~zbierających~~ zbierających się w każdy dzień rano, połowę wybie-
rali kogo im się podobało, resztę żegnali łagą i najgorszemi
przekleństwami. Na drugi dzień było to samo. Ludzie zno-
sili wszystko chcąc choć na funt soli, lub jakąś szmatę za-
robić. Najwięcej płacono i najlepiej się z ludźmi obchodzo-
no we dworze bobrowskim. Tu dobrze zapłatą wynosiła 30
centów dziennie

10 a Oddając gospodarstwo dzieciom ojcowie zastrzegali sobie wymowę w gruncie, pomieszczenie w budynkach. I tu się dopiero zaczynało piekło prawdziwe. Na dwa gospodarstwa miejsca nie stało, szczególnie wtenczas gdy starzy chcieli naprawdę gospodarować. Ciasno było w izbie, stajni, komorze, w stodole, w sieni, na podwórzu, a nawet na polu. Zaczęły się niedowierzania, posądzania, gryzienie żebów, ciche gniewy, które się zwykle przemieniały w kłótnie głośne i gorące. Jedni chodzili koło drugich jakby się nie znali. Trwało to miesiącami. Na wsi wiedziano że syn kradnie ojcowskie siano, zabiera obrok koniom i morzy je głodem. Równocześnie sługebna forma opowiadała że ojciec naruszył synowe zboże w sąsieku i stodole, iż bierze co się da choć wie że się synowi wcale nie przewala. Nie lepiej było na podwórzu, a już najgorzej gdy oboje gospodarze musieli robić tem samem narzędziem. Jeżeli jeden wziął to drugiemu bez awantury nigdy oddać nie chciał. Zawziętość dochodziła tak daleko, że niejeden słyszano jak jeden albo drugi w rozgoryczeniu mówił: „lepszy mi każdy, nawet żyd niż on." Nie lepiej działo się pomiędzy obydwoma gospodyniami, czy to była córka, czy też synowa. One musiały mieścić się w jednej izbie i komorze, piec chleb i warzyć jadło przy jednem piecu i inne czynności spełniać. Chodziły też koło siebie jak dwie furje gotowe zawsze wybuchnąć płaczem, już to wulkanem gniewu. Jako tako bywało wtenczas gdy syn ~~był~~ miał naturę ustępliwą, a synowa nie mieszała się do niczego. O taką jednak było bardzo trudno. Każdy chciał mieć swój honor i swoją rację.

Bardzo często sprawy podobne dostawały się do wójta, na probostwo, gdzie starano się godzić zawziętych kłótników. Jeśli się to powiodło, to zgoda zwykle nieszczera trwała bardzo nie długo, bo tylko do pierwszej okazji, a tych okazji zdarzało się wiele. Kazanie dawał zgorszony ks. Krzyżański upominał z ambony, ale to też nie wiele skutkowało. Braki, bieda, niezrozumienie były mocniejsze od wszystkiego. Rzecz naturalna że nie brakło rodzin które nawet w tych warunkach żyły ze sobą jak najprzykładniej.

Sporo ojców odstraszonych złemi przykładami, aż do śmierci trzymało grunt do ostatniej skiby, chcąc się tem przed niewdzięcznością zabezpieczyć. To znowu stwarzało wieczną wojnę ze strony synów i córek, które przy ojcach pracować nie chciały. Nie lepiej wycho-

13

BIBL. Z.N. IM. OSSOLIŃSKICH

dzieci co się oddając grunt i gospodarstwo, wymawiali sobie tylko utrzymanie. Razem mieli pracować, razem zbierać i razem używać. ~~Przeważnie pozostały wspólne~~ ~~słowami~~ Tak było ale tylko w początku. ~~Pot~~ Sadzano starych przy jednem stole, oprócz im [illegible], stawiano się [illegible] ich myśli. Potym im [illegible] dowodzono by jedli osobno bo „im dzieci na miejscu przeszkadzają". Ze stołu przechodzili na ławę, bo tam więcej było miejsca. W ich interesie dowodzono w dalszym ciągu aby się usadowili w kącie izby albo na [illegible]. Tak postępując często zatrzymywali się dopiero w stajni, albo i głodem [illegible]dlowali a nie rzadko musieli wychodzić na żebry. W latach głodowych oni pierwsi padali ofiarą.

Zjawisk niektórych wytłumaczyć sobie inne umie[illegible]. Ten sam syn lub córka, który ojców uwielbiał i pod niebiosa wynosił, stawał się dla nich bez serca tyranem, naprzód często ich dobre imię, potem obojętnie, jak ci obce progi przekraczać musieli.

Zaproszenie do wyboru.

4/ Za Gdzieńdziej trzeba było na to pracować przez dwa dni.
Od czasu do czasu sprzedało się prosię, nadko jałówkę,
lub krowę. i to przeważnie wtenczas kiedy się musiało
coś większego sprawić. Gospodynie chodowała drób na
pierze i na pierzadre, wszakże że to więcej sprawia kłopo-
tów niż daje dochodu. Świnie chowały się mniej dzi-
ko, żyjąc przeważnie odpadkami ludzkiemi, składanemi za
każdą stodołą. Kiedy się zbliżał czas sprzedaży, lub zabi-
cia dla siebie trzeba im było „poddać” nie całując nawet
kapki mleka, którego domownicy często tygodniami
nie wąchali. Każda kapkę masła, sery i jaja wy-
drowały do miasta, gdy domownicy zawszycie pościli.
Maślanka i serwatka rzadki przysmak dla nich stanowiły.

W zimowych miesiącach oprócz młócki, chodzeniem
do lasu „dla osobienia drzewa” międlono len i konopie
skubano pierze, mielono na żarnach, strugano widły
poprawiano grabie, ciosano kłonice, drążono szufle i
siedlerki, łatano buty, drutowano garczki gliniane,
len i konopie czesano i przędzono, słowem robiono wszyst-
ko co było potrzebne i czego na lato odłożyć nie dało.

Sypiano jak najwięcej aby zaoszczędzić na jedzeniu.
Śniadanie składające się przeważnie ze ziemniaków i
słabiutko okraszonego żuru jadano koło południa. Dru-
gie i ostatnie jedzenie dawane tuż przed wieczorem sta-
nowiły znowu ziemniaki, kapusta i czasem krom-
ka chleba. Naturalnie u bogatszych. Ci ubożsi już od
Nowego roku do żniw chleba nie oglądali; na ziemnia-
kach też oszczędzali aby dochować na sadzenie. Niektórzy
ziemniaki zjeść musieli przechowując na sadzenie same
dołki ze ziemniaków wykrojone.

Uprawa roli stała na jak najniższym poziomie.
Inwentarz martwy i żywy w zupełnym zaniedbaniu.
Pług drewniany żelazem okuty, brony z dębowemi gwo-
ździami. U kołce zamiast kół obręcze jałowcowe cho-
mąta i kawałka worka i patyków poklecone. Konie
małe, słabe, gnojem oblepione, przedstawiały żałosny
widok. Grunt jałowy bo gnojówka poszła w świat, a gnój
na wszystkie strony roztłopały kury. Do robót polnych
zabierano się bardzo późno. Ścierniska podkładano dopiero
pod zimę. oziminy zasiewano aby urósł przed śniegiem.
Nie lepiej było i z robotami wiosennemi. Przygotowania
robiono jak na wyprawę wojenną. Trzeba było czekać aż

16 12/a woda wyschnie, konie się podpasą i odżyją, wtedy je
można do roboty użyć, a do orki w szczególności. Takiej u-
roczystości wiosną obserwowałem, mieszkając u
gospodarza Wojciecha Rozmusa. Już koniec maja. Pole
mocno zwieknione, gnojem nadzwiczka potrzepane.
Od rana wielka krzątanina. Naznoszono pługów i
postronków, kolec i chomąt, naprowadzono koni. Na-
schodziło się gromada ludzi. Radzono, majstrowano,
wreszcie ruszono. Konie poszły naprzód i padły na py-
ski, zwalając się jeden na drugiego. Wóz łączący kolca
i pługiem został zerwany. Krzyk, lament, przekleństwa
i nowe wiązania i próba na nowo. Wóz się utrzymała,
ale chomonta znowu popękały. Konie znowu leżą na
ziemi, bardzo zmęczone, trzęsące się i zbłocone. Dal-
szych prób nie robiono, z gruntu zjechano, godząc się ogólnie,
że to było czyjeś zaślepienie. Ludzkie złe oczy winne wszystkiemu.
Jaka praca, taka płaca, jaka uprawa, takie i plony.
Toteż na malutkich czteroskibowych zagonkach żyto
i pszenica chwiały się tylko środkami zagonów, woda stała
do połowy zagonów, miętlica i stokłosa królowały niepo-
dzielnie, głusząc resztę zboża jakie się ostało. A wiadomo
że jak w polu miętlica, to bez chleba tęsknica. I tak co-
corocznie było. Ziemniaki rosły jak orzechy, walcząc
o lepsze z różnemi chwastami, jęczmień ledwie wylazł
z [illegible], a owies dopiero rosnął przy [illegible]. Nawet
brat brata nie wodził. Całe pole obrośnięte różnemi
chwastami wyglądało bardziej jak ogród kwiatowy.
Jeśli się zdarzyły ulewy i roztopy, wody zalewały całe ob-
szary. Chłopi zaglądali na pole kilka razy na dzień, zała-
mywali ręce, sypali przekleństwami, przelewali ~~wodę~~
wodę szuflami na grunta sąsiada, ale za lat dziesiątki
się nie domyślili że trzeba choćby mały rów wykopać a
wodę odpędzić. Kłócili się na umór, walili po łbie łopata-
mi, chodzili po wójtach i sądach, ale małej prostej rzeczy
zrobić nie chcieli. Ta głupota jeszcze i dzisiaj u wielu
pokutuje. Tyle lat, tyle czasu i dobrych przykładów.

Życie publiczne, społeczne, a choćby tylko to-
warzyskie ani się i [illegible] nie pokazywało. Każdy się
starał żyć dla siebie, ograniczać swoje zainteresowania
i potrzeby aż do ostatecznego minimum. Byle ni-
kogo o nic nie prosić, nikogo na nic nie potrzebować.

13/ Dla ogromnej większości chłopów świat się kończył
zazwyczaj na swojej wsi, u innych na jarmarku, lub mieście
powiatowem, u wielu na odpustach w parafiach sąsiednich.
Do Tarnowa chodzono tylko za wezwaniem, wybierając się
jak na drugi świat. Droga twarda, konie niekute, idzie o-
szukaja. Człowiek wie z czem wychodzi, ale nie wie z czem
wróci do domu. Butów mieszczanom na bosaka nie wypada. Bar-
dzo długo utrzymywała się pogłoska, że młodszych i tłustych
Żydzi na krew porywają. „Nigdy nie wiada na kogo to padnie."
Lepiej się nie narażać i z chałupy nie wychodzić. Oczywiście
że było sporo śmiałków, którzy się niczego nie bali.
Pism prawie nikogo nie czytano, niektórzy czytali ale tyl-
ko na „książce nabożnej" i zawsze w tem samem miej-
scu. Na inne miejsce i na inną książkę umiejętności tej
przeważnie przenosić nie umiano. Kilka osób umia-
ło sylabizować żywot św. Genowefy, inni nad Sennikiem cyp-
skiem całemi dniami ślęczeli. Na odpustach i jarmar-
kach kupowano pieśni kalwaryjskie, jak i również bardzo li-
czne wydawnictwa drukarni Orła we Frydku na Śląsku.
I to wszystko dla zwyczaju, bo się treścią przeważnie nie zaj-
mowano. Z czasem rozszerzyły się dość licznie Intencje mie-
sięczne przez Bractwo Kościelne wydawane. Kupowały je prze-
ważnie kobiety i one się w nich zagłębiały. Nie będę w między-
dzie z niecierpliwością jeśli nadmienię, że w czasie w któ-
rym się zaczyna moje opowiadanie jednego egzemplarza książ-
ki patriotycznej w całej wsi nie było.
Chłopi byli na wskroś cesarscy i żyli zbrojną jakąś im z go-
ry podawaną. Ufność wszelką w niezłym, dobroć cesarza i
byli przekonani, iż zrobiłby dla nich wszystko, gdyby mu pa-
nowie nie przeszkadzali. Dowodów na to mieli tysiącami. Gdy
zmarły śmiercią samobójczą arcyksiążę Rudolf przybyłymi
przez lat kilkadziesiąt żył pomiędzy chłopami. Płacili podat-
ki i szli do wojska bardzo chętnie, ponieważ to było dla cesa-
rza. Urzędom wierzyli w przyszłość, że który się zawsze najbezpie-
czniej można schronić i sprawiedliwość otrzymać. Skarg de-
legacje i pielgrzymki bardzo często do Wiednia wysyłano.
Polskę uważano powszechnie za jakiegoś straszliwego u-
pióra, czekającego na chłopów z paszczą rozdziawioną. Pamię-
tano pańszczyznę, krzywdy, okrucieństwa jakie i praktyki ja-
kiemi się dwory wobec chłopów kierowały. Powstańców uwa-
żali za zbrodniarzy dla których wydarcie Komuni i wbicie na
pal, byłoby bardzo łagodną karą. Sama myśl o powstaniu

14/18 Polski wywoływała drwiny i przezwiska. O roku 1846
nie wiele wiedział, bo Trzciankowianie nie tylko w nim u-
działu nie brały, ale chłopi miejscowi rebeliantów przepędzili.
Kiedy nigdy nie wiedział, choć żałował, że zrobił tak mało.
Co nieco wiedział o wyprawie moskiewskiej na Wę-
gry i bardzo rad to opowiadał. Niektórzy opowiadali o
Napoleonie nazywając go Apolijonem. ~~Radzi~~ Radzi wspomi-
nali o wojnie z Włochami, wielu brało udział w bitwie pod
Königgrätzem, byli ranni, dostali pensję, nosili "medale", ab-
siły chowali w skrzyni, albo za obrazkami. Bili się dobrze
i "byliby Prusaków zwyciężyli, gdyby generałowie Prusakom
sprawy nie zaprzedali." "Moskala uważali za takiego,
co na całe pół świata i nikt mu nie da rady.
"Odludki" nie ruszali się nigdzie z ~~domu~~ chałupy, inni scho-
dzili się wieczorami w karczmie, albo w jakimś domu,
aby parę godzin przesiedzieć i czegoś się dowiedzieć. Dom
taki znajdował się w każdym przysiółku. W każdym z nich
jedno i to samo robiono. Palono fajki, zapiekane, wąchano
tabakę, od stóp do głów każdego obgadano. Wiedziano co
i kto kupił na jarmarku, co ma do sprzedania, ile zapła-
cił, ile chce za swoje. Kto się z kim pokłócił i co złego wy-
nikło. Kogo wzięto do wojska a komu się upiekło. Gdzie
było wesele ile trwało, kogo zaproszono i kto się pognie-
wał, bo go ominęło. Ile było kołaczów, ćwiartek piwa
i wódki. Kto z kim tańcował i kto przypłacił. Gdzie się
znaczy na wesele, a gdzie na chrzciny. U kogo jest przedno-
wek i odkąd się zaczął. Gdzie jaki zarobek i kogo przyjęto.
Gdy tego zabrakło rozmowy schodziły na dawne czasy
na pańszczyznę na bicie i poniewierkę. Na czary, zaklę-
cia, dusze pokutujące ~~czary~~ i ~~[illegible]~~ świetniki i inne planetników
potwory prześladujące ludzi. Każdy coś widział i każdy
chciał się czymś pochwalić. Starając się przedstawić to
zdarzenie w jak najpiękniejszej grozie. W naszym przysiółku
takie zebrania odbywały się w domu Kazimierza Poch-
wonia, zwanego "Kalarzem". Był on szwagrem mojego ojca
i gospodarzem niezamożnym. Łatał buty, trudnił się
bednarką, palił fajkę, wąchał tabakę i na skrzypcach rzę-
polił. Od kilku lat wybierał się do Gdańska, aby tam z
diabłem od muzyki się porozumieć, duszę mu zaprzedać
a muzykę jak najlepiej posiąść. Zawsze mu jednak coś
stawało na przeszkodzie, tak że zamiaru tego nie mógł
dokonać.

15. Prosiłem ojca, aiżeby mnie zabrał do Palana ze sobą. Długo mi
odmawiał, ale się nakoniec zgodził. Ludzi była pełna
izba, i tak zadymiona, że żadnej twarzy rozpoznać nie
mogłem. Światełko umieszczone na stole ledwie mżyło-
tało. Matka usadowiła mnie na przypiecku i sama
usiadła przy mnie. Nikt nie zwracał uwagi na nas.
Ciekawość nad niezmiarą wzięła u mnie górę. Na-
słuchiwałem się jak zając, starając się jednego słowa nie ~~[illegible]~~
uronić. Spoczątku mówiono o małych i większych spra-
wach miejscowych. Nikomu tam nie przepisywano, nicze-
go nie darowano. Ani żywem, ani umarłem. Najwięcej i
najgłośniej trajkotały kobiety, przypinając łatkę komu na-
leżało. Potem przyszedł las, serwituty i łąki chłopskie.
Sprawę przedstawił chłop sapakowaty siedzący przy
stole, w czapce czerwonej na głowie i białym zestarza-
łem kożuchu na grzbiecie. Mówił z ciałem i przej-
ęciem wywołując różne okrzyki i kiwanie głowami.
Sprawę uważał za przepadłą, bo co wilk połknął to
sobie z gardła wydrzeć nie pozwoli. Tam się dowiedzia-
łem że Tomasz Pochroń jako delegat sprzedał chłopów
Księciu Sanguszce za te marnej łąki w Rudce położonej.
Drugi mówca chłop czarny i cherlawy dowodził na-
miętnie że pańszczyzna przyjdzie na nowo jak chło-
pi trzymać razem nie będą. Nikt się nie ode-
zwał, w izbie zapanowało ponure milczenie. Za
chwilę ~~odezwał~~ podniósł się głos od komory: Panowie byliby daw-
no pańszczyznę przywrócili ale cesarz na to nie zezwoli.
Ludzie się ucieszeni raz na nogi powstali: zrobił się
ruch, bo przez kilka minut wszyscy naraz gadali.
Jedna z kobiet skarżyła się na czarownice, które
jeżdżą na łopatach aż na Łysą górę. Kumają się z dja-
błami i ~~wszystkim~~ biednym ludziom mleko zabierają. Wszy-
scy widzieli że miała ona na myśli gospodynię
Rozmusową, która ma tylko dwie krowy, ale mleka
miała ma więcej jak we dworze. Rejwach zrobił się
ogromny. Wszyscy czuli się skrzywdzeni i wszyscy ją
widzieli jak latała do dnia po rosie, prawie nago i
inne czarnoksięskie sztuki wyprawiała. Krowy wciąż
doją krwią, a zioła kupione od zakonników pod Żakliczynem nic

20

16/ pomagają. Najlepiej pomogłyby kije ale jej nie można było wyłoić. Zamawianie też nic nie dało. Człowiek nic nie poradzi. Wszyscy bezradnie skłonieli. ~~Bezrobotny~~ a tylko gospodarz był zdania, że najlepiej się z tym "zwrócić" do żumnieć. Do końca nie mógł swojego doprowadzić, bo żona wyskoczyła z za pieca i krzyknęła: "Stul pysk ojciec, bo cię djabeł łeb urwie ani się nie spodziejesz!" Baba się tak rozindyczyła że się już nikt nie odważył o tych rzeczach mówić. Pochroń też siedział ze spuszczoną głową. Myślałem za koniec, ale się myliłem.

Ktoś przypomniał lata głodne, zimne, nieurodzajne, straszliwe. Nie było jednego gospodarza na całą okolicę żeby miał ziemniaki, albo garniec zboża. Choroby grasowały. Ludzie marli, niejeden człowiek nie został w domu. Ci co zostali chodzili jak cienie. Zbierali chwasty po polu i niemi się żywili. Znowu puchli i umierali. Jeśli kto dostał otręb był bardzo szczęśliwy. Żebracy jacyś obcy z gór chodzili masami. Nikt nic nie miał, to i oni nie nic dostali. Umierali koło ścian, na pogórkach na progach domów, stodół i stajen. Nikt się niemi nie zajmował, nikt też nie wiedział skąd byli i jak się nazywali. Niaraz ich trupy leżały tygodniami, bo się ~~nikt~~ nie ~~mógł~~ miał kto zająć niemi. Ludzie też ślepieli i na nic nie dbali. Nawet na swoich.

To przypomnienie sprowadziło nastrój grobowy. Wszyscy milczeli. Nie trwało to długo, bo ktoś przypomniał, że w starym browarze straszy każdej nocy. Jest to duch robotnika który się utopił w kadzi z okowitą. ~~Tam się rozgadali~~. Wszystkie strachy i straszydła to jest djabelska robota. Djabeł się przemienia raz w Żyda, raz w pana, raz w księdza, to znowu w psa, kota albo inne stworzenie. W naszej wsi straszy on na "Bani", na księżowych drogach i pod mostami na Borzęckowskich bagnach." Jak mu się kto nie podda to go będzie wodził po bagnach, lasach, wodach całemi nocami. Okazało się że prawie każdy z obecnych zdarzył się z djabelską potęgą, ale też każdy wychodził na swoje. Najlepiej mieć ze sobą szkaplerz, różaniec, albo kilka kropel wody święconej. Tego się djabeł najbardziej boi.

17/

Rozmowa zeszła na dusze zmarłe: "Zaraz po sądzie bo-
skim dusza każdego człowieka musi odbywać pokutę. Szatani
ją dokuczają i na ogniu pieką. Bardzo często Pan Bóg skazu-
je te dusze na pokutę tam gdzie za życia grzeszyły. Czasem tu-
ka dusza ma pozwolenie. Przychodzi wtenczas do swoich blis-
kich i błaga o pomoc. W takich wypadkach nie należy się bać
ani uciekać, ale się zapytać czego ona żąda. Dusze są w lesie,
w ziemi, we wodzie, w ogniu, w drzazgach drzewa, za obra-
zami w izbie. Księża pokutują w kościele, panowie po dworskich stodołach,
leśniczowie po lasach, Inżynierowie co źle pola mierzyli przemienie-
ni w świetników ze świecami na ramionach chodzą całemi
nocami trzęsąc łańcuchami. Tak będą chodzić na wieki jeśli
im ludzka modlitwa nie pomoże, albo się Bóg nad nimi
nie zmiłuje. Jeśli drzewo nakładzione do pieca skwierczy to
jest pewne że w ogniu tam dusze cierpią i pokutują. Dusze samobój-
ców chodzą po cmentarzu nocami, straszne jęczą, a nad ranem
do swoich grobów wracają. Tym już nic nie pomoże, bo się same
w ręce djabelskie oddali. Nigdy też grzechy nie będą odpuszczone
bluźniercom i tym co się na swoich ojców porywali.

W izbie panowała cisza, ale od czasu do czasu ktoś się wzdry-
gał z zapewnieniem że jemu się zdarzyło spotkać ze zmarłą
duszą, nie wiedział jednak co robić, choć nie było czego się
bać, bo taka dusza nic złego ludziom nie zrobi.

Złapały mnie jakieś dreszcze, zacząłem ze strachu dzwo-
nić zębami, choć się do tego wcale nie przyznawałem. Prze-
rażenie moje doszło do najwyższych granic kiedy ~~wszedł~~ wpadł do
izby stary gospodarz Szczepan Tracz i powiedział na pół gło-
sno: to nie widzicie, świetnik chodzi nocami, a gwiaz-
da z ogonem jest już dawno na wschodzie. Wszystko skoczyło
na równe nogi i mnie matka pociągła na pole. Rzeczywiście
świetnik był coraz to bliżej, zdawało mi się że idzie pro-
sto ku mnie. Kometa jakby się zbliżała. Chłopi orzekli
że będzie wojna, pokiwali smutnie głowami i już nie wrócili
do izby. Nie widziałem co się ze mną dzieje. Zdawało mi się
że świetnik tuż tuż na nogi mi nastąpi, a Kometa
jakieś straszliwe ruchy wykonuje. Djabły czerwoni co przy ~~[illegible]~~-
~~[illegible]~~ otoczyły mnie ze wszystkich stron. Czułem że z wody, drzewa,
źdźbła słomy, wychodzą dusze i straszydła i zbliżają się do mnie.
Jakże byłem szczęśliwy gdyśmy doszli do domu i mogłem
stanąć w kącie z którego nic nie widziałem. Usnąć nie
mogłem całą noc się jak w gorączce ~~się~~ rzucałem. Matka
to spostrzegła, zrobiła mi umetki z gorących węgli. Trochę zasnąłem.

18. Kometa pokazywała się przez kilka wieczorów. Ludzie obserwowali to zjawisko z rezygnacją szczerze wierząc że ona wszystkie nieszczęścia napewno sprowadzi.

Mimo samolubstwa którym się dużo kierowało, dla niektórych uczyniono wyjątek. Za przywiezienie księdza do chorego nikt nie brał żadnej zapłaty. Bardzo rzadko brano ją za przywiezienie lekarza. Za skromną podzięką wożono drzewo i wszelki materjał do budowy potrzebny. Zbierano się gromadnie do pokrycia nowych budynków, zakładania przyciesi, wciągania krokiew, przesuwania domu. Dawano za darmo snopy słomy na poszywkę w razie braku albo pogorzeli. Nieszczęścia godziły gniewników nawet najbardziej zapamiętałych. Nie zawsze jednak i nie na długo. Gniewy tak zwane śmiertelne następowały zwykle po cięższej obrazie, albo publicznych powaśnieniach. Ubłan-czas się zacinano. Nie daruję im na śmiertelnej pościeli groził jeden. choćby zdychał nie ~~daruję~~ odpuszczę swojej krzywdy sumitował się drugi. Często to wszystko załatwiało się z wiatrem, ale nie rzadko było dotrzymywane.

Nie było dnia w którym by się nie odbywały głośne powaśnienia i swary pomiędzy sąsiadkami a nieraz pomiędzy całemi rodzinami. Nie było też przekleństwa obelgi ani przezwiska których by nie wyrzucano przytem. Nie było tajemnicy, której by nie odkryło. Głośne te i gorące kłótnie sprowadzały pół wsi ciekawych. a kończyły się pokazaniem sobie gołej tylnej części ciała, ku uciesze zebranej gawiedzi, która wszystko widziała i pamiętała długo. Jedne swary rodziły drugie, dając powód do skarg sądowych, a co najmniej gniewnych. I tak żyło się w nieskończoności. Każda ze stron czychała na ~~każdą~~ okazję aby się zemścić. A okazji tych było bez miary. Dzieci się pobiły. Krowa ~~weszła~~ wlazła w pole, kury podrapały grzędy, gęsi weszły na podwonce, chleb oddany był mniejszy i trącił zakalcem ~~z daleka~~ I tak w nieskończoności siekiera wyszczerbiona, stylisko od motyki złamane i t.d. ~~itd~~

Dużo złego robiło podbijanie się w cenach przy kupnie
2. łąk w lesie, nieszczęściem było donosicielstwo na wielką skalę prowadzone. Jak się ludzie zawzięli nic im nie pomogło.
" Ja pójdę na dziady, ale ty jeszcze prędzej." To dawało uciechę i satysfakcję, to miało ratować honor i powagę. Aż dziw że ci ludzie których musiały do ramy przytłoczyć, całemi latami jednego słowa do siebie nie przemówili. Dopiero ~~co~~ nieszczęście mogło im gębę rozwiązać.

19. Strachy i zabobony panowały niepodzielnie. Do lat niemal ostatnich nie wolno było wstawać z łóżka lewą nogą, pod grozą nieszczęścia. Kołtuna nie można dotknąć grzebieniem, gdyż „był by się zmściwił". Nie można było żadnej roboty w polu zaczynać w dzień piątkowy, a szczególnie gnoju wozić. Nie można było brać do ręki bzu, albo na niego nogą nastąpić, gdyż ciało mogło połamać. W pewne nieszczęście wierzono gdy zając przeleciał drogę, lub ją baba przelazła, gdy wrona darła się nad domem lub koło niego. Hukanie sowy w szczycie dachu zwiastowało śmierć w rodzinie. Powszechnie wierzono że są ludzie którzy wzrokiem mogą zaślepić człowieka, bydło, zboże na polu. Ażeby się przed tem zabezpieczyć na zasiane grunta rzucano słomę, robiono straszydła, aby złe oczy miały na czem spocząć. Oprócz tego krowy dostawały żabę i paskudnika który powodował wzdęcie i wzręgenie. Łamanie prętów laskowych nad bydlęciem chorobę tę usuwało. Jeśli konie dostawały zołzy puszczano im krew, albo błonę oczną do krwi narzynano. Jeśli się dziecko przelękło lub z innego powodu zachorowało, robiono mu [illegible] ażeby odpędzić chorobę. A oprócz tego wosk przy świecy topiono, całem przekonaniu się co było przyczyną choroby. Z topionego wosku ulał się pies, kot, świnia, lub inne stworzenie którego się dziecko przestraszyło. Pomogło dobrze, nie to wola boża.

Starsi gospodarze z dużem powodzeniem odgadywali deszcz, lub pogodę. Według tego deszcz był pewny jeśli słońce zaszło za wał chmury, lub zwarte chmury były na północy. Deszcz pewny gdy sól i kamienie wilgotnieją, wrony się kąpią hałaśliwie, kury grzebią się w piasku, ryby się pokazują na wierzchu wody, drób do późnego wieczora chodzi po polu, człowiek się robi „nieluny" kości bolą i ruszać się nie można, bydło się robi niespokojne. Króliki się na środku izby wylegują, konie się mocują, woda w studni staje się mętna i cieplejsza, głos w lesie oddaje. Znałem leśnego dworskiego Jakóba Hołdę, którego te spostrzeżenia i przepowiednie nigdy nie zawiodły. Był to człowiek leciwy, inteligentny, pomnieszany, oczytany, wychowany na łonie natury. Wszystko co mówił pochodziło z jego pracy i czynionych stale doświadczeń. Był lubiany, ale niedoceniany

20. <u>Do chłopów</u> z Królestwa będących pod panowaniem
rosyjskim nasi chłopi byli [jak najbardziej] wrogo nastawieni nazywając
ich wprost Moskalami. Pochodziło to z jednej strony z
nieświadomości, a więcej może stąd że złodzieje Koni-
scy Królewiacy bezustannie grasowali zabierając naj-
lepsze Konie gromadzianom. Ani Wisła dzieląca zabory
ani liczne straże nie stanowiły dla nich przeszkody. Chło-
~~wienga~~ pi byli przekonani że strażnicy graniczni ze
złodziejami trzymają, bo nigdy żadnego nie chwycili.

<u>Mimo wspólnej</u> niedoli i jednakiego ujarzmienia po-
między chłopstwem istniały różnice niezwykle głębo-
kie. Miarą wartości stanowił grunt budynki, in-
wentarz a nawet odzienie, nie mówiąc już o pieniądzach
jeśli się kogo trzymały. Bogaci stanowili osobną klasę,
średni ich naśladowali, a ubogimi jedni i drudzy wzgar-
dzie gardzili. Rzadko się zdarzało aby Kmieć jadą-
cy na jarmark, lub do Kościoła [na wóz] wziął Komornika
idącego piechotą [żeby] posiedział w Karczmy, ~~albo na~~ wesele lub
go zaprosił do siebie. Nie przywitał się po ludzku, na
przywitanie nie odpowiadał. Ra.

Małżeństwa też tylko w swojej klasie zawiera-
no. Jeśli się zdarzyło że syn lub córka Kmiecia wbrew
woli ojców postąpili, załatwiono się z nimi krótko. Nie
dano ani grosza, nie oglądano się na nich choćby ginę-
li z głodu. Czasem się [ojcowie] udobruchali, ale to się bardzo rzad-
ko zdarzało, najczęściej w złości do końca wytrwali, odma-
wiając nieposłusznym nawet kawałka chleba. Nikt się
nie dziwił że takie postępowanie doprowadzało nieraz do
smutnych tragedji. Jeszcze i dziś widzi się u niektórych
podobne zdarzenia. Mimo tylu zmian i tak bardzo głębo-
kich. Nikt jednak przy [zgl.] tem nie przyjmuje.

<u>Poza</u> ogromną różnicą jaka nastąpiła w układzie po-
siadania ~~jest~~ [~~wszelki~~ ~~[illegible]~~ przechodził] postęp na polu gospodarczym. ~~dokonany~~
Zrobił tu swoje czas i smutne wieloletnie doświadcze-
nia, ale jeszcze więcej dokonały propaganda i przykład
jaki dawały dwory i wsie więcej postępowe. Inne na-
rzędzia rolnicze, inna siła pociągowa, inna upra-
wa, inne znacznie lepsze nasienie. A co za tem
idzie i lepsze zbiory. Chłopi rozkupili sporo gruntów
dworskich rozszerzając swoje gospodarstwa. Wprawdzie nie-

21 Który chłopi święcie uwierzyli że grunta pańskie zawsze będą
pańskiemi i do dworu wrócą z powrotem, ale to nie mia-
ło wielkiego znaczenia. Kto kupił to ma i mieć będzie
a nie kupił we obecnie ile sobie zaszkodził. Chłopi Wierz-
chosławicy sporo gruntu nabyli z parcelacji Bobrowników
małych, Dąbrowy, trochę Siedlca, Bogumiłowic i samych Wierz-
chosławic. Sporo gruntów zakupili też od sąsiadów,
który wyjechali na większe gospodarstwa w różne
strony świata, nie wyłączając Ameryki Północnej, Brazy-
lii i Kanady. Jakby na przekór rzeczywistości znajdu-
ją się we wsi nowe gospodarstwa do 20 morgów [illegible]-
drugich. Powstały one przeważnie drogą dokupna od
tych który na stałe ze wsi wyjeżdżali.

Zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Raj na ziemi A-
meryka. Ziemia wolności, dobrobytu, złota, urodzajów, sło-
wem ziemia obiecana. Ludzie chodzili jak w gorączce
i o niczem innem nie mówili. W Kościele na jar-
marku, na odpuście w domu. Rano w południe, całe-
mi wieczorami. Przy pracy, przy odpoczynku, przy je-
dzeniu. Zdawało się że grasuje jakaś epidemia której
się nikt oprzeć nie jest w stanie. Ludzie który nie
wychodzili po granice gminy, który nigdy nie byli w
mieście powiatowem, który wierzyli we wszystkie czary
i straszydła zaczęli za Ameryką agitować i do niej się
wybierać. Odznaczała się w tem specjalnie rodzina Kum-
pików. Jeden z nich Jan nazywany "Jonaszkiem" prawie nic po-
tem nie robił. W jedną niedzielę przed jego domem
~~zgromadziła~~ zeszła się gromada chłopaków. Tym tam prze-
dtem. "Jonaszku" jak prorok mówił z zapałem: "Tam ci w Amery-
ce możesz brać grunta ile ci potrzeba, robisz co
chcesz, nikt cię nie pilnuje. Pszenica i inne zboże ro-
dzi się dwa razy do roku. Roli nawozić, ani uprawiać
nie trzeba. Nawóz się pali, albo wyrzuca do wody. Złoto się
tam kopie jak u nas kartofle. Zające tam są ogromne i
człowieka się nie boją. Możesz ich mieć, ile tyl-
ko zechcesz. Świnie, bydło i konie same się w lasach i
na polu chowają. Trawy są dużo większe od człowieka.
Żaby ci są tam takie wielkie jak u nas krowy. Jak
~~jest~~ jest na drodze to się musi ją objechać, żeby nie
wywrócić wozu. Na wszystkich drzewach rosną owoce

i każdy może mówić ile mu się podoba. Jak skończył ktoś się zapytał skąd on wie to wszystko, kiedy w Ameryce nigdy nie był. Ani trochę nie zmieszany Jonaszek odrzekł, że wszystko jest na papierze napisane i pieczęciami przybite. Organista czytał dwa razy. Za parę tygodni nadeszły szifkarty z Hamburga.

Knapiki do Brazylii wyjechali. Jeden z nich Józef nazywany „Chłopkiem" i przez wszystkich we wsi [illegible] przyszedł do nas na pożegnanie. Jak nie ten człowiek. Ubrany z pańska, [illegible], roześmiany, szczęśliwy. Co miał to sprzedał, jutro się udaje w podróż do Brazylii. Nie dokładnie którędy pojedzie i kiedy będzie na miejscu, jeśli Bóg pozwoli. Zapomniałem języka w gębie, ani się go o nic nie pytałem. Rano na drugi dzień wszyscy poszli do spowiedzi, a po południu udali się w drogę. Ani jednej łzy nie uronili opuszczając Ojczyznę i ojcowiznę. Pewnie że wielką rolę grała u nich nieświadomość, ale większą niepomierne nędza, ucisk, upodlenie, które jak mur chiński stanęły pomiędzy Ojczyzną a nimi. Ileż to trzeba było czasu i pracy by ten mur usunąć. Po dwóch tygodniach przyszedł list do krewnych. Pisał go agent od znaku donosząc że Knapikowie wszyscy i zdrowo wielkim okrętem w daleki świat odjechali.

We wsi się nigdy niczem tak nie interesowano jak losem i wyprawą tych, których za największych niedołęgów i durniów uważano. Przez długie miesiące nie dawali znać o sobie. Panowało więc ogólne przekonanie że wieloryby, o których tyle opowiadali urządziły sobie z nich śniadanie. Obawy na szczęście okazały się płonne. Knapiki żyli i pisali. Jeden ze znajomych otrzymał list od nich na całych dwóch arkuszach papieru ~~[illegible]~~ nakreślony. Opisali w nim jak uczynili całą podróż, przyjęcia i pierwsze miesiące gospodarowania. Z listu wiała radość i zadowolenie. Nie tylko mieli co jeść do syta ale mogli się i z drugiem podzielić. Gruntu dostali więcej jak był nasz cały przysiółek. Koni, bydła i świń mają bardzo wiele, drobiu bez liku. Praca ciężka bo muszą las karczować, ale to wszystko dla siebie i rządy im dają nasiona i wszystko co jest potrzebne. Jakieś zwierzę kręcą się koło nich, ale się nie boją, bo chłopaki ich i inni mają strzelby i dobrze strzelają. Są i trudności. Nie ma księdza i kościoła a na pocztę muszą 20 mil chodzić. Oni to przecierpią, a dzieciom będzie dobrze. Do listu była dołączona fotografia. Śmiech i zdziwienie wywoływała fo-

23. we wsi fotografia żony Kropika Józefa, która słynęła z
niechlujstwa i brzydoty, a wszyscy ją nazywali „zasmoloną Jagą"
I rzeczywiście była wiecznie zasmoloną, jakby się obrawiała wody, a tu
na fotografii pani Kapeluszowa, jak gospodyni plebańska co
najmniej. Suknia po same pięty i gęba jak szkło wymyta.
Kurnoszki były zgodne: że z sadzy nie widziały ani śladu.

W dalszych listach donosili o wzmagającym się dobro-
bycie, zachęcali bliskich do wyjazdu, twierdząc: że nig-
dy o powrocie ani nie pomyślą. Za kilka lat mieli ko-
ściół o dziesięć mil tylko odległy i księdza polskiego
który dwa razy do roku bywał u nich. Później dzieci
pisały o śmierci starych, a w końcu wszystko ucichło.
Do Brazylii wyjechało jeszcze kilka śmiałków, ale nie
mogąc tam wytrzymać do Ameryki północnej uciekli.

Przedmiotem cichych westchnień i pragnień gorą-
cych stały się Stany Zjednoczone. Ludzie wzdychali po cichu
i głośno, agenci po swojemu się amerykańskie przedstawia-
li. Reklama głosiła wytrwale że każdy kto chce może
tam grunta prawie za darmo dostać, lub też na far-
mie, a jeszcze więcej w fabrykach i kopalniach grube pie-
niądze zarobić. Za jeden miesiąc więcej niż tu praca cały ~~żywot~~
żywot. Wyrywających się coraz więcej i coraz bardziej, wstrzy-
mywały dusze koszta przewozu, niebezpieczeństwo morskie
niepewność życia zarobku i powrotu. Gorączka się wzma-
gała, na ~~śmiałków~~ przykład czekano. Trzeba żeby ktoś utorował drogę.
Znalazł się i taki: Przedsiębiorczy i odważny Walenty Podlasek
żył w niezgodzie z ojcem, włóczył się stale po świecie za robotą.
Jednego czasu z domu wyszedł i latami nie wracał i
znaku życia nie dawał. Kiedy się ludzie o niego mar-
twić przestali on wrócił, długo nikomu nie mówiąc
gdzie tak długo przebywał. Milczenie musiał jednak
przerwać, bo się niemowa zdradził. Zaczął skupować
grunta, budować, kupił też place na ulicy Klikowskiej
w Tarnowie. Choć wiec milczał zawzięcie, zdradzały go czy-
ny. Za słowy się majątku nie kupuje. Zresztą się w końcu
wygadał. Był w Ameryce, pracował i przywiózł kilka ty-
sięcy dolarów. Ale na tem ucichł. Skupował dalej
grunta, pracował i oszczędzał, naśladowców odpędzał powie-
dzeniem stałem: „Rozumiesz, uważasz jak tam to się do-
wiesz." Postępowaniem jego nie tylko budziło coraz to
większą ciekawość, ale doprowadzały ludzi do różnych
domysłów i podejrzeń.

24. [26] Podlasek Walenty był dużym dziwakiem. Do kościoła
nie chodził, księży nienawidził, praktyk religijnych nie
wypełniał. Usilnie pracował, małem się obchodził. Ka-
łek suchego chleba i flaszeczka wódki stanowiły u niego
śniadanie, obiad i wieczerzę. Mało sypiał. Latem i zimą
w starym białym kożuchu i czerwonej czapce chodził. do snu się pra-
wie nigdy nie rozbierał. Z nikim bliżej nie przestawał, do ży-
dów miał słabość, paść im bydło na swoim pozwalał, grunt im
dzierżawił, w polu sam orał. Sam ze sobą stale na pół głośno
rozmawiał. Był przytem uczynny dla lepszych sąsiadów i
żebraków nie znosił i nigdy im nic nie dał,
dziwić go bez ustanku na językach nosili. Wszyscy się
zgadzali że tyle pieniędzy zarobić nie mógł. Jedni mówili
że jakiś bank okradł i do kraju uciekł, drudzy głosili że
się w Ameryce kilka razy żenił, żonom majątek zabrał
i dalekiemi wodami z nim do kraju przyjechał. Gdy mu
o tem usłużni powiedzieli, śmiał się i głową kiwał. W rozmo-
wie zaś raz przyznał się że dużo pieniędzy przywiózł,
ale je zarobił uczciwie. Zamiłowaniem ale. Tryb
życia i rozmawianie ze sobą doprowadziło wielu do prze-
konania że Podlasek Walenty jest w porozumieniu z djabłem,
a wszystko co nagromadził wetrze się rozpadnie. Tu się
nie pomylono. Po śmierci Podlaska synowie jego z nagroma-
dzonym majątkiem szybko się załatwili, nie angażując żad-
nego djabła do pomocy, nie trafiając też na przeszkody z jego
strony. O Walentym Podlasku przestano mówić.

Gorączka Amerykańska owładnęła wszystkiemi. La-
tano za paszportami, pożyczano pieniądze, sprzedawano by-
dło, zastawiano pole, płacono lichwiarskie procenta, łamano
najcięższe przeszkody. Zarabiano wiele, spłacono długi.
Kupowano pole, restaurowano budynki i stawiano nowe. Nie
brakło takich co podróż do morza odbywali piechotą, a na
okręcie spełniali różne czynności nie mając dostatecznej
gotówki na zapłatę na przejazd morzem. Wysokie zarobki
nęciły każdego, nawet dotychczasowych bogaczy i kmieci.
Wsie się wyludniły, przeważnie ogromne dwory. O tanim
robotniku i parobku nie mowa. Rząd zaczął robić co
raz to większe trudności, odmawiając paszportów i wyłapu-
jąc tych co się bez paszportów w drogę udawali. Wprowadziło to
zamieszanie ale fali emigracji wstrzymać nie mogło. Chłopi
szli na zieloną granicę szlakami przez przewodników. Pienią-
dze chowali do butów i różnych części ubrania. Jeśli ich zła-
pano wracali do domu, i znowu się wybierali. Chodzili tak

25/ i po kilka razy, aż nareszcie postawili na swoim. Emigracja do Ameryki stała się ruchem tak żywiołowym że i nad [illegible] powstał [illegible] ~~[illegible]~~ zatoczyła. Był okres wieloletni w którym dolary do każdej wsi płynęły bezustannie głęboką i szeroką strugą. Wyjazd do Ameryki stał się z czasem rzeczą tak małą i naturalną, że wielu wybierało się tam jakby do jakiegoś sąsiedniego domu. Nie brakło też takich, którzy do Ameryki jeździli po dwa, trzy a nawet przeszło razy. Coraz częściej się też zdarzało, że owi pielgrzymi jeździli jak na odpust nic nie zarobili, a rodzina była zmuszona na drogę powrotną im posyłać. Jednak takich było nie wiele.

Nie rozporządzam żadnemi danemi co do sum do wsi przysłanych i przywiezionych dolarów, to jednak wiem że nie było rodziny któraby sobie nie pomogła, nie było żadnego nowego gospodarstwa, któreby bez tych dolarów powstało, nie było domu nowo zbudowanego, lub odnowionego. Nie mówię już o spłacie długów, zakupnie inwentarza, przyodzieży, kształceniu dzieci itp.

Wielką część tych dolarów wzięły dwory za ziemię, którą w tym czasie z jakąś chorobliwą pasją na wzór sprzedawały. Mało mniej dostało się żydom, którymi się wyręczała szlachta przy tych tranzakcjach, wyręczała, i wielką szkodę dla siebie i dla chłopów którzy to pośrednictwo opłacić musieli.

Jakkolwiek się działo był to okres w którym chłopi odrazu stanęli na mocnych nogach. Dobrobyt wzrastał w oczach, bieda stawała się przykrem, ale coraz bardziej odległem wspomnieniem. Wieś zmieniła gruntownie swój wygląd. Nowe schludne domki dachówką kryte wyskakiwały jak z pod ziemi, stare poprawiano i bielono, inny porządek zapanował w całem gospodarstwie. Inaczej wyglądali ludzie, uprawa, zbiory. Emigracja odbiła się także dodatnio pod względem społecznym i narodowym. Chłopi Amerykanie bardzo licznie stawali w pierwszych szeregach, okazując wiele poświęcenia i odwagi.

Wszechwładztwo dolara miało także i złe strony. Wiele chłopów przyjeżdżało zmanierowanych. Sporo ilość kobiet się rozhulało, tracąc pieniądze krwawą pracą męża zdobyte, nie patrząc na gospodarstwo i szczęście rodzinne. Stanowiły one jednak znikomą mniejszość. Ogromna większość zachowywała się jak najprzykładniej. Ciężkie czasy minęli gospodarze, którzy się z domu

nie wiszali konkurencji z tymi co dolarami bez troski rwali. Jakoś mimo wszystko w tyle nie zostawali. W okresie największego natężenia kiedy i kobiety masowo wyjeżdżały emigracja zabrała niemal połowę ludności wsi do pracy zdolnej. Wieś w sposób widoczny opustoszała.

Wojna światowa i amerykańskie zarządzenie ograniczyły emigrację do ilości wprost znikomej. Nie brakło jednak takich, co mimo wszystko tam się dostali. Dużo się nie zebrało, gdyż zarobki tak spadły że się nie opłaciła skórka za wyprawę. E. Potężna emigracja powoli "skapała" dolary się rozeszły, dziś rzadko się trafi aby jakoś zeszła w głębokich schowkach jeszcze się ~~ostała~~ uchowała. A jednak są tacy którzy coś ~~hodują~~, nieco przechowują.

Zazdrość, nienawiść, obmowa, pasja szkodzenia drugim, przypomnienie zemsty, jak inne tak niestety liczne przywary, były tem głęboko zakorzenionem złem które w życiu publicznem i sąsiedzkiem uczyniło straszne spustoszenie. Przedmiotem pulacej płomieniem zazdrości było stajenka lepszego żyta u sąsiada, trochę porządniejsza chata lepiej wyglądający ~~koń~~, jałówka, a nawet nowo kupiony wóz, lub kożuch. Zawiść budziło szczęście i powodzenie, zręczność w robocie, uznanie u ludzi, zarobek w lesie, we dworze, a nawet u Żyda. Skorzący się szkodzić wcale się z tem nie ukrywał. Chodził gdzie należy ganił sąsiada, jego dzieci, chudobę i pracę, podawał w wątpliwość jego uczciwość, oferując się do robót za cenę niesłychanie niską. Gdy mu się to udało czuł się szczęśliwy. Sam nie zarobił, ale tamtego ustrzegł, Jeden przykład:

Dwór sprzedawał łąki w drodze publicznej licytacji. Na cenie mu wiele nie zależało. Chłopi mogli je nabyć stosunkowo tanio, gdyby istniało jakie takie poczucie solidarności i zrozumienie swojego interesu. ~~Ale co o tem mówić.~~ Tak było dosyć mogło się dostać każdemu. Ale co o tem mówić. Jak tylko termin sprzedaży został ustalony chłopi się gotowali, nie żeby sobie pomóc, ale jak jeden drugiemu zalać jak najwięcej gorącego sadła za skórę. Nie brakło takich nigdy co chodzili przez całe dwa dni licytacji i dokładając każdemu, sami nie nie kupili. Ten ~~[illegible]~~ sport szydacki kosztował grubo sąsiadów który sobie przeważnie nic z tego nie robili obiecując ~~[illegible]~~ się odwdzięczyć na przyszły raz. I tak zawsze bywało.

27. ~~Przed jadowitym językiem plotkarskim.~~ Raz jedyny i to w czasie ~~wiecznie~~ poniżającym wybawiałem chłopów pogardzie, to się udało, ale to mi tak dojadło, że więcej prób nie robiłem. Każdy prawie czuł się niezadowolony, bo się nie wyrzekł. nikomu sadła za skórę nie zalał. A wielce było to do życia potrzebne.

Łaki:

Przed jadowitym na łotrzeie długiem językiem plotkarskim nie ostał się żaden ani jego dzień. Jak postawa, uroda, chód, ubiór, urządzenie domowe, kuchnia, jedzenie miski, garnki. Wszystko to odpowiednio ubrane puszczano na wieś i to w jak najgorszym świetle. Nie cofano się przed wystawaniem pod oknami, podsłuchiwaniem przy drzwiach. Wysyłano do sąsiadów dzieci, aby zbierały potrzebne wiadomości. Drogą pośrednią zasiąd się dowiadywał, o „swoim” tętnym łbie, ogonych nogach, miłowym nosie i t.p. zaletach. Córki jego to gwiazdy, chadzy i krowy ~~latawice~~ włóczące krzywemi łapami, synowie kurduple, i syce do matki wrodzone. Dom gnojem zarosły, zarażony świerzbem i innemi paskudnemi chorobami. Wystarczyło to, aby sąsiad odpłacił pięknem za podobne, ale aby nikt do niej wyjąt bojąc się choroby. A sprawa zwykle płata się przedmiotem głośnej ordynarnej powołanki i sądów wójtowskich. Znienawidzonemu sąsiadowi robiono nocami szkody w polu, rzucano różne przedmioty pod drzwi i okna, dom oblewano gnojówką, podrzucano na podwórze zdechłe psy i koty, silono się na wszelkie sposoby aby jak najbardziej dokuczyć. Ulubionem było ganienie ich dziewek na wydaniu i odmawianie narzeczonych. Robiono to bardzo często i bez żadnych skrupułów silono się na jak najbardziej skuteczne argumenty.

Niemal ogólnem było wzajemne oskarżanie się i donosicielstwo. Latano z oskarżeniem na probostwo, do leśniczego, na posterunek żandarmerji, a nawet do sądu. Słowano w sądzie, wyprzysięgano przestępstwa urojone, lub niezgodne popełnione. Byle się zemścić, nasycić ~~napaść~~, kto potłamić cudzemi nadzieję. Nie pomogły napomnienie księdza, ani wypychanie za drzwi. Uparci byli i zostali: (Dzisiaj jeszcze inaczej, grubo inaczej.)

Chłopi owcześni bali się krakania wrony, hukania sowy, urzeka i dyabła, pokutujących dusz, płanetników łażących po polach świetlików, psów wyłażących spod omszału, żandarma, księdza, egzekutora, ale więcej od wszystkiego, dania swojego podpisu, a jeszcze bardziej złożenia przysięgi.

Mateusz Patej
Dziadzi

28. Uprawdzie podpis prawie wyłącznie zastępowano zna-
kiem krzyża, bo piśmiennych nie było ~~prawie~~ wiele, ale i to bardzo
strach pomięszany, aby sobie jakiegoś nieszczęścia na gło-
wę nie sprowadzić. Chłop do sądu, notaryusza, adwokata
szedł jak skazany na ścięcie, pewny jakiegoś podstępu, żona
go za progiem przestrzegała, dzieci zwracały uwagę. Wszyscy nie-
cierpliwie czekali powrotu, bojąc się by tylko nie podpisał.
Gorzej jeszcze było z przysięgą bez względu na to na
co ją składano. Sam fakt uważano za coś strasznego,
czego pod grozą śmierci unikać należy. Chłop gotów był
wszystko zrobić w kryminale posiedzieć, szkodę ponieść
byle go do przysięgi nie zmuszano. Ludzie trzęśli się
całem ciałem ~~kiedy w czasie~~ zmienili się na twarzy
zapominali się jak nieprzytomni gdy ksiądz na stole kr-
zyżyk postawił przed świecami zapalonemi obok który z im
dokonał. Chłop zmuszony uczynił im zadość, ale
przez długi czas ~~był~~ obawy jakiegoś pewnego nieszczęścia, nie
miał chwili spokoju. Przysięga fałszywa była uwa-
żana za największą i nigdy, ani na tem, ani na tam-
tem świecie nieodpuszczoną zbrodnią. Głos publiczny
głosił i ze zgrozą wspominał krzywoprzysięzców, który
dnia drugiego lub trzeciego dnia po przysiędze nagle i bez
żadnego powodu gwałtownie umierali. Tego przeko-
nania nikt by nie zachwiał żadnemi argumentami.
Było to z jednej strony hamulcem na złych ludzi, ale z
drugiej napełniało często najlepszych, nie dając im spokoju
poza grobem, najniewinniej w świecie.
Ponieważ kradzieże były rzadkością, a złodziei nie wiele,
zawsze prawie wiedziano gdzie szukać skradzionego przedmiotu.
Rzadko to jednak robiono aby się na gniew i zemstę nie na-
razić. I dziwna rzecz, Ten sam chłop który przed żandarmem
tak skwapliwie oskarżał często niewinnego sąsiada, jeśli cho-
dziło o wydanie złodzieja ust nie chciał otworzyć. Zdarzało
się nieraz że sąsiad sąsiadowi drapnął ser z pod strzechy, bat,
widły, albo siekierę z podwórza, koło od wozu, powróz na by-
dło, garstkę lnu lub konopi, narwał marchwi, otrząsł gruszki,
ale to były drobiazgi które uchodziły za coś naturalnego. Na-
tomiast w lesie kradli prawie wszyscy. „Las dziadek nasz!"
powtarzano sobie codziennie i jak do dziadka chodzono, za-
bierano więc co się dało i zdało. Brzeziny na miotły, kołowroty,
drążki do literek, patronki, deski na kłonice, szczeble, widły

29. graby na toporzyska do siekier i motyk, osikę na szufle i ce-
dzenki, jałowiec na biczyska i kołki do kolek, młode dęben-
ki na wici krowne, bijaki do żep i t. p. Nadleśniczy
Lasowski był ludzki człowiek, lecz patrzał przez palce.
Dziedzic las, dawał opał, wsłużył, grzyby, jagody, umożli-
wiając wielu marną egzystencję. Ale to trwało do czasu.
Mimo bardzo licznej zwierzyny w lesie i na polach
chłopom prawie na myśl nie przyszło na nią zapolo-
wać. Stąd miał dwór spokój i nie płatny. Zapuszczali się
natomiast kłusownicy ze wsi sąsiedniej Niwki, których
[illegible] dobrze wyrzezali, a także nieco tego na-
miastu podsięrali. Nauki nie poszła w las, ale chłopi
nosyli tam ze smyczkami, paruzami, kobyłkami, łapiąc
od czasu do czasu zajączka, wydrę, tchórza, lub inne stwo-
rzenie. Strzelby do ręki nie wziął jednak żaden. A prze-
cież zwierzyna robiła niepomierne szkody, lecz i nie-
zawsze przez dwór nagradzane ~~Ten był takimi został~~.
Stosunki, prawie wcale sąsiedzkiej przyjaźni stwierdza-
ła krótka piosenka, chętnie i często śpiewana: "Oj
kumie mój kumie, pokumaliśmy się, a wlazła świnia
w marchew pogniewaliśmy się." Tak było najczę-
ściej. Lada głupstwo, funta kłaków nie warte czyni-
ły w jednym momencie z najserdeczniejszych przyja-
ciół, najbardziej zaciekłych wrogów, z których jeden
drugiego utopiłby w łyżce wody gdyby tylko mógł." Pow-
szechnym niemal było lekceważenie, a nawet wyraźne
pogardzanie ubogiem, a nawet równym, płaszczenie się
zaś aż do upodlenia przed bogatszym, lub jaką władzą
dzierżącym. Robiono to szczególnie (w sposób) widoczny,
aby obróciwszy się w drugą stronę wywiesić język, iż go
ośmieszyło. Ponieważ ta dwulicowość nie stanowiła ta-
jemnicy odpowiednio też płaszczących się traktowano.
A [illegible] tych co takimi nie byli.
Chłopi ówcześni bardzo chętnie dawali na ko-
ściół, rzucali centy na składki w kościele zbierane,
płacili podatki regularnie i sumiennie, wnosili
raty i procenta od długów, niechętnie zwrotu zaciąga-
nych, dawali żebrakom jałmużnę, kupowali obrazy
święcone i różne [illegible] [illegible] księżom i pa-
łacy dla wszystkich i innych celów.

Nie byłbym ścisłym gdybym nie zaznaczył że zaw-
ne się gros zostawił na muzykę, na wódkę, składkę
na wódkę, ćwiartkę piwa, lub gramówkę wódki.
Jeśli wieś tarnowska tonęła w ciemnocie i zaco-
faniu to Wrzęchosławicom przypadało pierwsze miej-
sce przez długie lata, pod tym względem. Tu się musi
rzucić pytanie dlaczego. Jaki był powód owego dzi-
wnie nienaturalnego stanu. Jedną z przyczyn była
bezsprzecznie bezgraniczna krzywda przez Sanga-
szków chłopom uczyniona. Ona się przyczyniła do ich
nędzy, ona stała im stale jak straszna zmora przed
oczami. Ona ich zatruwała ogromem goryczy, ona nie
pozwalała patrzeć rozumnie na świat i na życie. Wol-
nica i tacy to pierwsze myśli nie uśmiechające się sło-
wa pacierza i elementarza. Jak było i cokolwiek się w
świecie działo, oni zawsze swój worek i wrzynał w
stróżę lasu krzywdzili. Czy wówczas, czy nie wówczas. Za
Tym pytaniem zaczynano [illegible] Każdy niemal roz-
mowę. O tym mówiono na jarmarku i na odpuście
o tem się zaczynały i na tem kończyły chrzciny i wesela.
To weszło w krew i żyły nie dające się niczem wyciągnąć.
Miałem może lat 18 wówczas. Przechodzę przez jeden
z przysiółków. Wołają mnie do starego Walentego Le-
cha. Leży na śmiertelnej pościeli. Przytomny, ale
wybiedzony, dni widać policzone. Witam się z nim.
Ściska mi rękę i ociera łzy spadające ciurkiem. Nie
gniewaj się że cię kazałem zawołać, ale ty czytasz
gazety, to wiesz czy co o naszej wolności i lasach mi
piszą. Żeby to było, umarłbym spokojnie. Z najwię-
kszą trudnością dźwignął się na pościeli i nie pozwo-
lił mi odejść dopóki ~~tom~~ całej historji od początku
do końca mi przedstawił. Słuchałem podziwiając tego
starca, który w tę sprawę całą duszę włożył. Widziałem
też że z nim rozmawiać innych było niepodobna. Tamci
~~bo~~ stękali nad stratą materjalną, on się i innemi kie-
rował pobudkami, należąc do małej garstki jako ta-
ko myślących chłopów. ~~Mówią chłopi~~ Za dwa tygodnie
w jednem z pism ludowych napisano o tej sprawie. Był to mój
artykuł owoc trosk moich. Pierwszy krótki nie udolny, lecz już mierzył

31/ Cios był rzeczywiście nie mały i mógł chłopów ogłu-
szyć, ale do pewnego stopnia i tylko w tej sprawie. A tu
się na niej ani nie zaczynało, ani nie kończyło. Dlacze-
goż naprzykład ci chłopi słusznie narzekający na nowy
wójtowskie na kradzieże, nadużycia i tysiączne [illegible]
ne nie dali się drągiem wywarzyć by iść na wybory i wy-
brać kogoś lepszego. Kryli się za węgłami, udawali głu-
chych, umykali w pole, kiedy przysiężny chodząc po wsi zapo-
wiadał dzień i godzinę. Nie będę darł butów, mówił je-
den. Nie głupim się w takie rzeczy bawić, z dumą powta-
rzał drugi. Inni nie mieli czasu, jeszcze inni uważa-
li się za ~~głupich~~ nieodpowiednich, a najwięcej było tych, co wietrzyli podstęp i zdradę.
Sam zawinił; ale potem zaraz łamali ręce nad tem
co się stało, zrzucając na cały świat złość, sypiąc przekleń-
stwami. Gdyby w tem czasie wydawano o dziesięć kilome-
trów po funcie soli bydlęcej byliby wszyscy pojechali. Ale nikt.
Narzekali na drogi do przebycia niemożliwe, ale żaden
nie ruszył łopatą ani żeby dół zasypać, ani nie uczynił
grabiąc małych, żeby spuścić z drogi naprowadzając się wprost
wodę. Nie robił tego nawet wówczas kiedy ona stała tuż
przed jego wrotami i nosił przez nią dwadzieścia razy na
dzień przechodząc. Czemu patrzał spokojnie na gnie-
nie wody, na gruntach uprawnych zalanie. Niszczenie wszy-
stko co stanowiło o ich bytowaniu, gdy kilka godzin pracy mo-
gło olbrzymiej klęsce zapobiedz. A tak było latami, latami. W domu biedacie, nie-
mam czem psa wygnać, przyciąga się pasa i jada mniej bez soli;
kilka groszy skarb stanowią. Ale na brzydszych i kup-
nych rzeczy, ze śmiechem nie tylko reszkami, ale i dzie-
siątkami. Do tak im zabranych i wiecznie opłakiwa-
nych groszy dobrowolnie dopłacali rzymując się wzajemnie.
Kara boża, ~~[illegible]~~ otępienie, zamroczenie, czy jakieś bły-
tre ogólne obłąkanie. Tego nie mogę zrozumieć.
Chłopi okoliczni się budzą, idzie robota polityczna świa-
domości narodowej, bujnie się krzewi. Oni przykładają
utrapione głowy do poduszki, obracają się plecami, żeby nic
nie widzieć i nie słyszeć, a [illegible]. Polski be-
cik Rada powiatowa, przybytek patriotyczny stanowi. Mar-
szałek wielki magnat mi się nie rozumie, sekretarz patry-
ota, jest jej duszą i ciałem. Urządza się obchód Mickiewi-
czowski w Tarnowie. Rada powiatowa zawiadamia gminy
urzędowo. Z Wierzchosławic idzie delegacja; gmina płaci koszta
podróży. ~~Wypiło po butelce w T.~~

32) 36 Delegaci wzięli w obchodzie udział, doczekali się nareszcie końca. Łyknęli kwaśnej z mocną po parę buków u Trammera, zjedli flaki u Wernera po 12 centów i pod przewodnictwem wójta Bryła wracali do domu. Chłop, filut zwraca się do Bryła na promie w Ostrowie: "Skąd to wójcie?" "Z Tarnowa" z bramy jakby złośliwie odpowiedział. "Co wam z tego za interes?" "A psiakrew z tymi panami! Obchodzą jakiegoś Mickiewicza i człowiek musi dzień zmitręzyć!" Chłop parsknął śmiechem, ja się odwróciłem w inną stronę. Tomasz Bryła, najbogatszy chłop w gminie i jej przewodnik tak sprezentował swoją świadomość. Księgi Mickiewicza nie mogły zblednąć pod tą strzałą za ojca, nie zatęsknili za nim synowie. Nie chcieli czasu mitręzyć.

Czytelników gazet wytykano palcami, uważając ich albo za zbakierowanych pomiarów albo pomylonych ludzi. Tak zwani szanujący się nie czytali bo im nie wypadało, inni bo ksiądz zakazywał, inni nie mieli na to pieniędzy i czasu, niektórzy czytali ale nic nie widzieli. Był czas w którym do Wierzchosławic przychodziło co tygodnia ponad sto jednego i pism ludowych, ale to wnet spadło do połowy. Praktycznie przyszli do przekonania że im to nic korzystnego nie przyniosło.

Przyjeżdżającym do Wierzchosławic ministrowie i różne wielkości budziły ciekawość, ludzie się złotymi stojąc na płotach aby ich zobaczyć, spodziewając się że ktoś im co przywiezie; no i dopilnować by im ktoś nie zabrał. Ponieważ nic nie dostali odchodzili ze spuszczonymi nosami. To że się miało jakiś rów uregulować drogę naprawić jakąś instytucję założyć, nie wiele ich obchodziło. Przecież im z tego nic nie przyjdzie. Nic tylko się nie zyska, ale nieraz dopłacić przychodzi. Szkoła nie ich, Dom ludowy droga nie ich, Kasa nie ich, straż nie ich, czytelni nie potrzebują. Dawniej tego wszystkiego nie było a ludzie żyli i było im lepiej. Olbrzymi obchód Reymontowski w którym cała Polska wzięła udział i inne też różne uroczystości i zebrania, potężne manifestacje polityczne, wszystko spłynęło po nich jak po gęsi woda. Ktoś ma za nich myśleć, pracować, płacić, ciężary ponosić, ~~[illegible]~~ głową nakładać. Oni powinni patrzeć, gderać i podejrzewać. Przeniosłem to na swojej skórze w czasie wojny światowej, a wcześniej i potem. Jeżeli nie jedno zrobiłem to tylko dlatego że się na nich nie oglądałem.

Aby być z rzeczywistością w zgodzie pragnę zaznaczyć że, to dotyczy niektórej mniejszości, większość ogromna ~~[illegible]~~ była inna, ale to szczupły zawsze świat nieufności, zawsze zatruwały jedną, zawsze, ~~[illegible]~~ posępną atmosferę, zawsze kopały dziury pod każdą budowlą.

39. Byrni nikogo nie ośmieszać dodaję, że z 6 przysiołków gminę stanowiących były Gostawice najbardziej tępe i najwięcej głupie i samolubne. To szczególnie w młodszem pokoleniu. Z innych przysiołków wymienić należy Jeżreje i Karola Miedojadłów, Józefa Kropika, Pawła Głowackiego, Prusa Fran., Białego Piotra, Zygmunta Głowackiego i kilku innych. Oczywiście do nich doliczyć należy prawie zawsze nauczycielstwo, policję, probostwo i gromadkę zależnych.

Nie pomnę już z czyjej inicjatywy Wydział Krajowy we Lwowie postanowił uregulować ~~rzekę~~ rzeczułkę Czerniówkę. Mała ta rzeczułka zalewała corocznie wielkie połacie gruntów i łąk, od lasów p. Dolańskiego aż do brzegów rzeki Dunajca, sięgając niekiedy na podwórza domów. Trwało to latami. Aż pewnego dnia zjechało kilku inżynierów z dyrektorem Kędziorem na czele, rozpoczynając pomiary. Chłopi na pole wylegli, śledząc każdy krok inżynierów. Spokój był zupełny dopóki nie zaczęto zabijać palików. Wtenczas rozpoczęły się krzyk i lamenty. Każdy chciał żeby regulację przeprowadzono, ale żeby jego gruntu nie tknięto. Trochę nerwowy inżynier Różański zagroził żandarmami jeśli chłopi zechcą przeszkody robić. Było to niepotrzebne, chłopi ~~byli~~ tchórzem podszyci, prosili tylko by im gruntów nie ruszono, bo ich sąsiedzi po drugiej stronie mają grunta więcej. Inżynier się niecierpliwił. Albo ustąpicie dobrowolnie, albo żandarmi wam dopomogą. Posłano po mnie (nie wiem dlaczego). Inżynier przyjął mnie dość niechętnie, nie znosząc (widać) podobnych interwencji. I ja też do nich nie należałem. Poczynił jednak drobne zmiany oświadczając że więcej nie może. Chłopi się uspokoili ale tylko na jeden dzień. Na drugi dzień przyszła gromada do mnie. Jeszcze raz poszedłem. P. Różański jeszcze coś zmienił. Znowu nowa procesja u mnie ze skargami i prośbami. Odmówiłem (zaznaczając) że żaden inżynier lepszy w powietrzu nie może poprowadzić, a grunt który bierze ich ~~drogi~~ zabytyć nie warto. Poszli zmartwieni i nie mogli mi tego długo zapomnieć. Przeczywiście na gniew zasłużyłem. Rów bez dalszych przeszkód przekopano. Chłopi się uspokoili. Nie wiem czy mają zbiory zabezpieczone były kiedy w dzisiejszych dniach godziny. P. Kędzior się skarżył że po ukończeniu (robót) nikt mu nie powiedział: dziękuję. Ja do tego mandatu nie miałem.

ale się po uszy zawstydzić musiałem. Widziałem bowiem jego gorliwą pracę, a przecież prowadził ją nie dla siebie.

No ale byli to ludzie starszego pokolenia, którym cześć jedno-darowi należy. Toż wobec młodszych od których czego innego wymagać należy. Sejm galicyjski na ostatniej swej sesji na mój wniosek i usilnych zabiegów uchwalił ustawę dotyczącą budowy tak zwanego Kanału ulgi. Miałem on biedz równolegle z rzeką Dunajcem, zabierając wody z pól i lasów na przestrzeni kilkunastu kilometrów. Roboty miano wykonać z funduszów krajowych. do gmin zainteresowanych należało utrzymanie.

Radość panowała wielka, ale dokąd robót nie rozpoczęto. Część chłopów szybko doszła do przekonania że najlepiej zostawić jak było, inni chcieli by rzekę poprowadzić Łososiną, a gruntów nie tykać, najmądrzejsi dowodzili żeby malcińki wariatki rowek wykopać, woda na czas we dnie i w nocy, to i takim odpłynie. Reszta zapobiegliwa i przezorna pytała się mnie nieśmiało. Kto za grunta będzie płacił, mosty postawi i czy na nowym rowie swobodnie będzie pasać bydło. Tak mędrowali ci którzy na setkach morgów mieli bagno, odwieczne śmierdzące bagniska, zarosłe rzadkim mchem, sitowiem i karłowatą olszyną, którzy daremnie orali i siali, a chleb jedli jak go kupili.

Byłem własnym potentatem politycznym, rozporządzałem wpływami nieograniczonymi. Mogłem powiedzieć, niech was djabli wezmą, pójdzie sobie dalej. Myślałem roboty poprowadzić, nie oglądając się na nikogo. I tak zrobiłem. Inżynierowie przyjęli roboty poprowadzone. Kanał poszedł tak by spełnić swoje zadanie. Chłopi rzucili się do roboty. Zarobili sporo i grunta sobie osuszyli. Postarałem się przytem, by im mosty i przejazdy możliwie gęsto urządzono. Rada gminna przyjęła na gminę obowiązek utrzymania kanału, ale przy moim nacisku i z ciężkiem iękaniem. Nie trzeba dowodzić jaka nastąpiła zmiana. Urodzaje nie gorsze niż na Podolu. Ślepy chyba nie widział co się stało. A jednak nie wszyscy widzieli. Mimo nalegań wielu nie chciało w swoich gruntach wykopać małych rowków odpływowych, któreby ściągnęły resztki wody do kanału. Przy kopaniu rowu największego ośmieszył się wyżej oczu podmokły przysiółek Przedniaki leżący przeciw domów. Musiałem się użerać o każdy cal ziemi i każdy krzak olszyny. Wzięli się siągnąć w smrodach i błocie i nie mogli się z tem rozstać. Uśmiałem się gorzko, gdy jeden z chłopów stojąc w ziemiankach przekonanie wyrośniętych udowadniał mi że dawniej było lepiej. Bydło można było przepędzać choć gdzie, konie napoić, nogi sobie umyć, a teraz się jak po rynku chodzi. Widziałem że mówił z przekonaniem. Mimo to należycie go [illegible].

Kościół

Wierzchosławice są gminą parafialną. Oprócz Wierzchosławic do związku parafialnego należą: Bogumiłowice, Ostrów, Komorów, i część wsi Rudka. Ilość parafian wynosi około 4000 dusz. Według dokumentów Konsystorskich i pozostałych zapisków parafialnych, które w czasie pożaru ocalały parafia została założona w początkach czternastego wieku, a podobno nawet wcześniej. Dane Kościelne dowodzą, że już w roku 1326 Bogumił, proboszcz w Wierzchosławicach miał wyznaczone świętopietrze w sumie trzech i pół skojca, dwóch i pół denara. Poborcami tej należytości byli Legaci papiescy Andrzej Werulis i Piotr z Alwerni.

Pierwotny Kościół zbudowany z drewna był poświęcony Świętemu Wojciechowi. Miał go fundować dziedzic Wierzchosławic Bartłomiej Ogrodzieński, nazwany później Charbowskim herbu Sulima. Kościół ten trwał niezwykle długo bo około 500 lat, aż uległ pożarowi. Katastrofa nastąpiła 30 września 1797 roku niszcząc Kościół, plebanię i wszystkie budynki należące do probostwa.

Nowy, murowany Kościół w latach 1811-1818 postawił Książe Eustachy Sanguszko z Gumnisk dziedzic Wierzchosławic przy drobnej pomocy parafian. Konsekracji nowego Kościoła dokonano dnia 25 Kwietnia 1824 roku, przez biskupa Tynieckiego, pod wezwaniem „Najświętszej Marji Panny Oczyszczenia." Sakramentem bierzmowania zostało przy tej sposobności utwierdzonych 870 osób z parafji.

Probostwo zostało udotowane gruntem i łąkami o obszarze 107 morgów, jak i innemi świadczeniami ze strony dworu i rządu, nie licząc opłat za posługi religijne przez wiernych opłacanych, nieraz wygórowanych.

Kościół wierzchosławicki mógł się poszczycić możnemi patronami i Kolatorami. Byli nimi pomiędzy innemi: Ostrogscy, Tarnowscy, Wiśniowieccy, Lubomirscy, a od roku 1742 Książęta Sanguszkowie. O ile wiadomo mieli oni spełniać swoje obowiązki bardzo sumiennie.

Notatkę o drobnej pomocy parafian przy budowie nowego Kościoła należy sprostować, o tyle, że według danych nie zbyt zresztą pewnych, parafianie wykonali bezpłatnie wszelką robociznę przy budowie potrzebną. Sanguszko dał ziemię na cegłę, materjał drzewny i gotówkę.

40

36. W ciągu wieku 19.go obowiązki proboszczów w Wierzchosławicach spełniali:

(Księża)

1/ Ks. Jan Nepomucen Księżak, dziekan pilzneński. Zmarł w roku 1815.

2). Ks. Tomasz Dziadaliński. Zmarł w roku 1835.

3/ Ks. Wawrzyniec Bielański. Prefekt Seminaryjum duchownego, dziekan i inspektor szkół dekanatu tarnowskiego. Zmarł w roku 1849 w czasie grasujących chorób zakaźnych, a szczególniej cholery.

4/. Ks. Medard Jelita Mierunowicz zmarł w roku 1864 w Wiedniu. Ciało jego sprowadzono i pochowano na cmentarzu w Wierzchosławicach, w kaplicy specjalnie na ten cel zbudowanej.

5/ Ks. Ignacy Rybicki herbu Ślepowron umarł w roku 1887 śmiercią nagłą i niespodziewaną.

6/ Żyjący dotąd proboszcz Ks. Józef Franczak spełnia swoje obowiązki w Wierzchosławicach od roku 1887 najpierw jako wikary, następnie jako administrator parafji, w końcu jako proboszcz.

O gromadzie wikarych, których Wierzchosławice widziały, nie wiele jest do powiedzenia. Spełniali swoje obowiązki, kierując się we wszystkiem wolą proboszcza. Pewną indywidualność wykazywali Ks.Ks. Sosin, Bogacz, Litwiński, Prokopek. Mniej jeszcze o organistach których jak rękawiczki zmieniano.

W czasie wojny światowej Kościół bardzo mocno ucierpiał od pocisków artylerji wojskowej, na wzgórzu w okolicy Tarnowa umieszczonej. Odrestaurowaliśmy go zaraz po wojnie przy wydatnej pomocy ekspozytury odbudowy w Tarnowie, a szczególnie jej Kierownika Inż. Ostulskiego. W jaskrawe malowidła ubrano go później przy gorliwym staraniu i dużym oporze obecnego proboszcza. Upór jego w tem wypadku okazał się pożyteczny.

37 Kościół był dla chłopów wszystkiem. A więc przyby-
tkiem i mieszkaniem Wszechmocnego Boga i Świętych, skry-
nią łask i drogą zbawienia. Kościół mógł ukoić bole i
smutki, odwrócić nieszczęście, zbawić duszę, ochronić ciało.
Księdza uważano za cząstkę nadziemską, Namiestnika
Chrystusa, szafarza łask bożych. On chrzcił, nauczał, wycho-
wywał i prowadził przez życie, on dawał wyjątek na drogę wie-
czności. Nikt sobie bez niego nie mógł żywota na ziemi
wyobrazić, nikt nie widział jego błędów, ani ułomności
ludzkich. Księża też niesłychanie dbali o utrzymanie się
na tej wyżynie przypominając co trochę wiernym, że tak
jest i tak na zawsze pozostanie. Przyznać należy że cieszy-
li się też wielką czcią i poważaniem. Jeśli się znalazł
jaki duch niespokojny, co się ośmielił narzekać na wygó-
rowane opłaty za śluby, pogrzeby i inne posługi Kościel-
ne, Ks. się z nim w krótkiej drodze rozprawił a ludność cała
stanęła murem przeciw "buntownikowi". Choć nie brakło ta-
kich co mu po cichu przytakiwali, nikt się otwarcie wy-
stąpić nie ośmielił. I wszystko pozostało po staremu. Mimo
tak utrwalonego i uprzywilejowanego stanowiska nie zaw-
sze Księża stąpali po różach. ~~Ciężki i to bardzo ciężki~~ orzech
do ~~zgryzienia~~. Posłuszni aż nadto parafianie byli niesłycha-
nie tępymi uczniami. Nie tylko 12 letni berbeć nie mógł
sobie nijak dać rady, już nie tylko z artykułami wiary, ale
z przeżegnaniem i "Ojcze nasz" przekręcając je niemiło-
siernie, po domowemu, ale szło bardzo ciężko udawało wą-
satemu Kowalowi ~~pozwoleniem~~ wyjątkowo poprowadzić oblubienicę
do ołtarza. Ponieważ ponadto twierdził uparcie że świat stwo-
rzył i Jezus o duchu świętym zupełnie nic nie wiedział, grzechy głó-
wne pomieszał z cnotami, a dziesięciu przykazań dołączyć
się nie mógł, proboszcz gromił z ambony, ślub wstrzymał
i nieukom przez kilka sobót polecił przychodzić. I to naj-
częściej nie wiele przyniosło. Raz i owsze nie robiono ni-
gdzie. A przytem nie każdy Ks. był dobrym nauczycielem.

Wstępna nauka religii udzielana dzieciom w domu stała
się rzeczą zawodną, bo dziecko klepało bezmyślnie za panią mat-
ką nie rozumiejąc słów, ani treści. Co gorsze że wręcz sami mo-
dlitwy tak poprzekręcali, że najlepsi znawcy poznać jej nie by-
li w stanie. Rzecz naturalna że dzieci nic z nią nie wie-
działy. Nic dziwnego że Ks. nie mógł sobie z nimi dać rady, że tra-
cąc cierpliwość szarpał za uszy i plecy pomacował kijem. To
znowu ze strony rodziców wzmogło woli wywoływało żale i narze-
kania. Zawsze to dziecko. A któż temu winien że się nauczyć
nie może, zrazu mogłoby się bez tego obejść!

38\. [42] Ciężko się stawała nieraz opieka Kolatora, szczególniej
gdy proboszcz miał swoje zdanie, a Kolator nie chciał te-
go znosić. Gorzej jeszcze kiedy trzeba było rozbudować Koś-
ciół, reperować budynki gospodarskie, Kolator nie
chciał czy nie mógł płacić, a proboszcz nie mógł
wszystkiego z ubogiej parafii wyżyłować. A takich
Kolatorów mnożyło się coraz to więcej.

Sporo kłopotów sprawiało gospodarstwo. Niesumien-
ni parobki, dziewki; Kradzież, marnowanie czasu i każ-
żego dobra. Upraszać złodziei można było z ambony
~~gorszyć~~ piętnować, i do sądu podać. Trzeba ich jednak ~~na~~ ich na gorącym
uczynku ~~przyłapać~~ świadka podać. {A tu proboszcz nie mógł sam wszy-
stkiego dopilnować, a parobki razem z nimi kradli.

Te i inne przykrości można było ścierpieć, zaradzić powsta-
wać lub przeboleć. Największą troską prawdziwego duszpasterza
dbającego przedewszystkiem o dobro duchowne i dusze pa-
rafian był ich stosunek do Kościoła i wiary. Wszyscy oni
spełniali posłusznie wszelkie polecenia, uczęszczali do Kościoła,
chodzili do spowiedzi, spełniali wszelkie praktyki przez Koś-
ciół nakazane, wierzyli w jedynego Boga, ale się swoich starych
bzików ani na chwilę nie wyrzekli. Nawet u tych naj-
pobożniejszych pozostała silna wiara w czary, zamawianie,
uroki, gusła, zażegnanie i t. p. podobne praktyki szatańskie.
Wróże, guślarze, różni prorocy nic ze swej klienteli nie stracili.
Chłop słuchając żarliwego Kaznodziei głową kiwał głęboko i cięż-
ko odetchnął, do domu się przywlókł, ~~zabrał nam~~ rozbity i nie-
spokojny, a z depresji wyprowadziła go dopiero cyganka, której se dał
przyszłość wróżyć. Oczywiście że ta przyszłość przez cygankę przepo-
wiedziana była tylko jasna i szczęśliwa. Rzadko inaczej.

Ludzie biegali do Kościoła nawet po kilka razy na dzień
o ile mieli czas i byli zdrowi. Mężczyźni chodzili prze-
ważnie na ranną mszę, młodzież i kobiety na sumę, i nie-
szpory. Wiele kobiet chodziło boso, nie opuszczając żadnego nabo-
żeństwa. Na mszę w dnie powszednie bardzo nie licznie uczęsz-
czano. Nieraz oprócz ks. organisty i dziadów Kościelnych nie by-
ło nikogo. Drobny procent stanowili ci którzy się w koś-
ciele zjawiali dwa razy na rok, a to na Boże Narodzenie i
Wielkanoc, nie chcąc w żaden sposób od swojego zwyczaju
odstąpić. Do spowiedzi wielkanocnej chodzono za kartkami
przez organistę wystawionemi, zwróceniem stanowiło dowód
spełnienia tego chrześcijańskiego obowiązku. Nie chcą-

39/ czyli iść dobrowolnie, doprowadzono przymusowo przy pomocy urzędu gminnego. Akt ten miewał być połączony z niemało wrzaskami i gróźnemi awanturami. Tacy grzesznicy dbali o swój honor. Ale nie tylko że spadli z ambony wołano ich publicznie na oczach ludzkich pomagając sobie tęgiemi nieraz wyzwiskami. Nic więc dziwnego że przynajmniej krzykiem reagować się starali.

Ambona przeznaczona jako miejsce do wygłaszania kazań, dawania nauk, ogłaszania różnych zarządzeń służyła nieraz do piętnowania publicznego spraw drażliwych i nieskromnych winowajców. Dostało się nieraz awanturnikowi, złodziejowi, pijakowi, cudzołożnikowi, ale przy sposobności i takiemu który nic nie przeskrobał stając się ofiarą donosów pobocznych dowódek. Oczywiście działy się takie rzeczy wówczas kiedy ks. miał być krewkiej natury. Czasem mu to przysporzyło trochę kłopotu, bo niektórzy na koronne dotknięcia próbowali swojego dochodzić. Z czasem to zupełnie ustało, z wyjątkiem spraw politycznych.

Mówiąc już o polityce dodać należy że nasi księża wobec Austrji byli niezwykle przychylnie nastrojeni. Odprawiali nabożeństwa, święcili rocznice, obchodzili cesarskie imieniny. Śpiewali hymny, wiernych do udziału bardzo usilnie i skutecznie zachęcali. Najjaśniejszy pan cieszył się u nich bardzo gorliwem i stałem poparciem.

Oprócz gruntów i łąk do probostwa należących dalsze jego dochody stanowiła Kongrua w gotówce wypłacana, opłaty za chrzty, zapowiedzi, śluby, pogrzeby, msze zamawiane, wypominki i inne tem podobne czynności. Dwór przeważnie dawał bezpłatnie drzewo opałowe. Parafia Wierzchosławicka musiała być jędrna i tłusta, gdyż w razie nowej obsady była przedmiotem usilnych zabiegów licznych i zawsze poważnych Kandydatów.

Księża wikaryjusze oprócz normalnego wynagrodzenia zarabiali na mszach o ile proboszcz im odstępował, brali też coś za inne czynności kościelne. Poważniejszy dochód przynosiła im petyta zbierana co roku w zbożu niemłóconem od tych gospodarzy co posiadali stodoły. Na kolendę dostawali gotówkę, zboże lub pieniądze prawie w każdym domu. Zmuszeni „stołować" się u proboszcza nie zawsze mieli powód do zadowolenia. Nawet to grabił, grabił do siebie.

Organista otrzymywał drobny, stały wydział od proboszcza, dostawał pewien procent od mszy śpiewanej, pogrzebów, ślubów. Wysokość tej danimy zależała od dobrej woli proboszcza. Właściwie utrzymywanie organisty i jego rodziny spadało na barki parafian. Organista pobierał od każdego parafianina po trzy centy za kartkę do spowiedzi. Chodził z księ-

40. 44 dziom wikarym po kolędzie, „Kolendzie" sam czy z dziadem Kościelnym po „spisywaniu" przed wielkanocną spowiedzią, po przeniesieniu opłatków i opłatkami; nie zachciał się zwracać o pomoc do bogatych gospodarzy jeśli zachodziła potrzeba. Udawało mu się też przeważnie wymodlić u proboszcza kawałek ziemi pod ziemniaki i paszę dla krowy, który tem dostał pisarkę gminną, inny nawet posadę zwierza bydła, inni pisali prośby i podania, zarabiając parę szóstek, osełkę masła, serek, albo garnczek zboża. Mieszkanie ich razem z ks. wikarym stanowił oficynki domek, gdy proboszcz wydawał sam na obszerny plebanii. Nic dziwnego że stan ten był powodem ciężkich waśni, ze strony ~~upo-~~ ~~śledzonych~~ śledzonych. Dwóch organistów który za głośno na tę nierówność narzekał ks. proboszcz z miejsca wydalił, nie bacząc na parafian, który się za nimi wstawiali.

Trudno sobie zdać sprawę jak w takich warunkach ludzie ci żyć mogli. A jednak nie tylko żyli ale utrzymywali liczne rodziny, dzieci wychowywali, a nawet kształcili. W tym kierunku zaznaczyli się szczególnie organiści: Kulig i Goliński. Ten ostatni człowiek rozumny, zdolny, energiczny został wydalony za działalność w sprawie poprawy organistowskiej. Grzesznik!

<u>Służba Kościelna</u> zwana powszechnie „dziadami Kościelnemi" składała się z kilku osób starszych i powolnych. Młodszym bywał tylko grabarz, mający ciężką pracę i trudne zajęcie. Do zawodu dziadowskiego zawsze było nadmiar kandydatów, brano jednak najbardziej statecznych w bliskości Kościoła osiadłych. Obowiązkiem służby tej było utrzymanie porządku w Kościele i spełnianie posług przez proboszcza im wyznaczonych. Jak się ze swoich obowiązków wywiązywali świadczył o tem Kościół ~~bru~~ wszelkiego brudu porosły i porządku nigdy nie-znający. Zapłatę ich stanowiły: procent od obligacji pożyczek krajowych przez gminę im wypłaconych, a kilkadziesiąt rańskich wynoszących. Dary z „dobrej woli" przez Księży udzielane, bardzo niewielkie i bardzo niepewne. Ochłapy przy różnych obrzędach jakoś ~~przy~~ ślubach, chrzcinach, pogrzebach, najwięcej jednak dawało chodzenie po parafii z Księżmi organistą, albo i osobno. Petycja, kolenda odwiedzenie jegomościa, opłatki: jak na dziada dość dużo dawały. Zapłata nie wielka i pracy nie było. Dziady porywały czasem dzwonnom, zarobek: zygmuntówkę, zbrali jegomościa, zarobili świecki; a nie mając więcej do roboty grzali się do słońca, plotkowali albo się kłócili. Kościół rzadko zamiatali; bywało że by prochy nie osiadały na murach, ławkach, chórze i sklepieniu.

41. Przy Kościele trzymała wieś każdej nocy straż parafialną. Odbywali ją kolejno właściciele domów i gospodarstw z całej parafii. Wartość tej instytucji była bardzo problematyczna gdyż wartownicy wielu odważnych trzymało się jak najdalej od Kościoła, by się z jakim duchem nie spotkać. Nie wiele się na lepsze zmieniło gdy zaczął tę służbę spełniać strażnik na rok wynajęty, bo jako sąsiad Kościoła, nie bojący się duchów spał spokojnie każdej nocy w dzwonicy, w domu, lub na stopniach Kościoła. Miał szczęście. Złodzieje ani raz Kościoła nie nawiedzili.

Ks. Ignacy Rybicki

Pierwszym proboszczem Wszechświęckim którego znałem był Ks. Ignacy Ślepowron-Rybicki. Szlachcic z urodzenia i postępowania, z postawy i manier wyglądający więcej na Komendanta jakiejś doborowej wojskowej formacji niż na duszpasterza w biednych Wszechświętych. Wysoki wzrostem, barczysty, prosty, marsowy, zdawało by się srogi i przytem ostry, gwałtowny, bezwzględny, pomiatający swoimi podwładnymi jak śmieciem. Myliłby się bardzo, ktoby się opierał na jego wyglądzie, lub go chciał oceniać po zewnętrznym zachowaniu i formach niezaz dość kanciastych. Ks. Rybicki był człowiekiem rzadkiej szczerości, dobrym nad wyraz, przyjacielskim ludziom całą duszą oddanym. Sklął przybłędę na cały głos, wypędzał ciarachów i natrętów, wyrzucał za drzwi pochlebców i donosicieli, nie cierpiał dewotek, tępił fałszywą pobożność, zniecierpliwiony mógł w Kościele wybuchnąć, pięścią w ambonę uderzyć, ~~natrętne~~ płaczliwe dewotki przy spowiedzi do porządku głośno przywołać, czem zgorszenie w kościele wywołał, ale to było drobiazgiem wobec tego co dla ludzi robił.

Kazaniami, naukami i nabożeństwami ~~zbyt~~ nie przemęczał, mając wzgląd na ułomności i słabości ludzkie, proszącym pomocy nigdy nie odmówił, sąsiadom podskubującym dobra plebańskie nie patrzał na palce, z nikim się nie kłócił, ani nie sądził. Ubogich parafian bezpłatnie chrzcił i za darmo grzebał. Bogatych wystawnych pogrzebów odradzał twierdząc że one parady pogrzebowe tylko pysze ludzkiej dogadzają, ale umarłemu nic, a nic nie pomagają. Ubogim chorym udzielał porady, pomocy, lekarstwa bezpłatnie dawał. Do ludności jak brat do brata się odnosił nie dając się po rękach całować, ani pokłonów przed sobą wybijać. Kiedy mu zarzucano że o Kościół nie dba, odpowiadał ze zmieszaniem

Boga swoją był szewc łuckski a nie inne niczyj. Grunt
oddany w dzierżawę bardzo mało mu przynosił, bo zawsze znalazł
się pretekst, by się od płacenia czynszu dzierżawnego uwolnić. Pro-
boszcz miał dobre serce, dzierżawcy umieli do niego trafić.
Ciężkiem utrapieniem Ks. Rybickiego był jego brat Władysław
zwany dla swego kalectwa „garbatym Władkiem". Nie tylko że sta-
le na karku proboszczowi siedział, nic nie robił, ale dobrawszy
sobie podobnych kompanów, pił z nimi na umór, niszcząc
bardzo skromne bratowskie dobro. Nic też dziwnego że gdy
Ks. Rybicki umarł, nie było za co pochować. Majątku nie
zbił, nikogo nie wyposażył, ale jak najlepszą pamięć po sobie zo-
stawił. Niestety starzy pomarli, a młodzi nic nie wiedzą. Stąd
też najmniejszego śladu wdzięczności nigdzie nie widać.

Ks. Józef Franczak

Administratorem parafii został mianowany ówczesny
miejscowy Ks. Józef Franczak. Na posadę opróżnioną przez śmierć
Ks. Ignacego Rybickiego rozpisano konkurs. Między licznymi
kandydatami zgłosił się i Ks. administrator. Miał on
dużo, gdyż wiedział że parafia dumna z niego, a kolator San-
guszko bierze się [illegible] i jej troską. Mimo to nie bez jego
wiedzy wyprawiły się liczne delegacje tak do Sanguszki, jak
i do Ks. Biskupa w Tarnowie, domagające się zamianowania Ks.
Franczaka proboszczem. Woli parafii stało się zadość. Ks. Józef
Franczak po paru miesiącach został proboszczem. Uprowa-
dziny odbyły się z dużą pompą, w parafii zapanowała niekła-
mana radość. Po nowym proboszczu spodziewano się bardzo
wiele i spodziewano się słusznie. Był młody, energiczny, pra-
cowity, obowiązkowy. Z kościoła prawie nie wychodził, ca-
łkiem nabożeństw ogromnie rozszerzył. Kazania długie wygła-
szał, nauk niezmordowanie udzielał, po dniach i nocach
spowiadał, modły publiczne urządzał, do odnowienia Ko-
ścioła się zabierał, różne bractwa i arcybractwa zakładał, Ko-
ściół w Wojsławicach ozdabiał dniami i wieczo-
rami modlitwą i śpiewami. Parafianie nie zostali dłużni.
Na zapuszczone grunta plebańskie wjechali gromadą. Zorali,
uprawili, zasiali bez grosza zapłaty. Nowemu gospodarowi
wszelkimi sposobami pomagali, nie zrażając się jego trochę
niezrozumiałem postępowaniem. Ks. Franczak ~~był~~ stano-
wił diametralne przeciwieństwo swego poprzednika Ks.
Rybickiego. Był drobnego wzrostu, pochodził z górskiej wioski

13/ w okolicy Rabki położony. Prawie z nikim bliżej nie prze-
stawał, nie palił, a podobno i nie pił, na polowanie nie cho-
dził, nie przeklinał, nie przerywał, w konfesjonale głośno uwa-
gi nie zwracał. Kościoła, mszy, kazania nigdy nie opuścił.
Zbawienia powierzonych sobie dusz gorliwie pilnował. Był
ultra rodowy
zamknięty w sobie, uparty, nieużyty, mściwy, na grosz niezwykle
łakomy. Okazał to natychmiast po objęciu swojego urzędu. Kro-
ku za darmo nie zrobił, opłaty za posługi kościelne kilkakro-
tnie podniósł, w każdą niedzielę i święto sam wybierał składki na
różne cele, nie wyłączając misji afrykańskich. Małe datki dającym
zwracał uwagę głośno i publicznie. Dzierżawcom gruntów ple-
bańskich czynsz podniósł, lub z dzierżawy powyrzucał, nie licząc się
ani z ich położeniem, ani z wkładami w ziemię włożonemi. Słu-
gę i robotników marnie opłacał, roboty intensywnej się domagał, chcą-
cych po dawnemu ~~[illegible]~~ na plebańskiem krowy popaść, albo
gęsi, [illegible] owce niemiłosiernie pędził, piętnował, do wójta podawał.
Z sąsiadami o miedze i przejazdy zadzierał, narażając się nawet
na przykrości i zniewagi. Miało to szczególnie miejsce z dzierżawcą
dworu Śliwskim i wójtem Kosiatym. Jednemu i drugiemu brał za
konie, jeden i drugi go odepchnął. Wprawdzie Sanguszko dał mu sa-
tysfakcję usuwając Śliwskiego z dzierżawy, ale fakt zniewagi pozo-
stał, a Śliwski się przeniósł [illegible] zrobił. Wyzyskując cały
spadek po ks. Rybickim zostawiony, bogato też stworzył i podtrzy-
wał, donosicielstwu bramę na oścież otworzył. Aby się przed
sarkaniem i odruchami zabezpieczyć, bardzo często w sposób
szczególnie uroczysty dowodził o wysokim dostojeństwie kapła-
na i ostro gromił tych, co z marnościami ziemskiemi zby-
tnio się wiązali, zamiast oddawać na chwałę bożą i kościołowi po-
magać. Nieraz kazania prawił tak długo i z takim natężeniem
przedstawiał
otchłań piekielną opisywał w tak strasznych barwach, że sam
„zapłakał" i u wielu kobiet rozdzierający płacz wywoływał. Bie-
daczki uwierzyły że gdzie stąpną, wszędzie mają ogień piekielny
pod nogami. Wysiłki nie były daremne. Złe usta mó-
wiły, a na ręce proboszcza wpływały się pieniądze i zapisy nawet.
Nie brakło też czasem dolarów amerykańskich na ręce
proboszcza przez wiernych parafian obficie przysłanych.
Nikt do dziś dnia nie wie ile zebrał, bo rachunków
nigdy przed nikim nie składał, nawet wówczas kiedy
Komitet parafialny osobną uchwałą do tego go zobowiązał.
Wychodził z założenia że ks. stoi ponad wszelkiemi for-
malnościami, a cóż dopiero podejrzeniami. Przyparty coraz ~~[illegible]~~
silniej
~~[illegible]~~, powiedział kilka słów z ambony, pokazując [illegible] księ-

44. 48 W parafii widziano że nawet swoją najbliższą rodzinę niechętnie widzi u siebie i jak natrętów traktuje, nakazując odwiedzającym go z parobkami pracować, żywiąc ich kapustą i ziemniakami. Nie było to wcale nic wielkiego bo i proboszcz pod tem względem wcale wybredny nie był. Nikt by wcale na to nie zwracał uwagi, gdyby się owi krewni przed ludźmi nie żalili. No ale tej litanii będzie chyba dosyć; przejdźmy do rzeczy innych.

Duszpasterstwo Ks. Franczaka przypadło na okres coraz silniej się rozwijającego ruchu ludowego. Stojałowski posiadał już dużą siłę polityczną. Ludowcy się dorabiali. Wierzchosławice nie można było od tego ruchu odgrodzić; aczkolwiek do nich przez dość długi czas docierały tylko słabe echa. Niektórzy chłopi przynosili z Tarnowa gazetki Ks. Stojałowskiego, czytane po domach potajemnie, mnie i dwom innym Ktoś zaprenumerował Przyjaciela Ludu. Jak się później okazało dobrodziejem tym był leśny dworski z Wierzchosławic Jan Głowacki. Chciał on przeto nie tyle sprawie się przysłużyć, ile proboszczowi dokuczyć. Obaj ze sobą niby blisko żyli, a oby się serdecznie nienawidzili. Była to więc przyjacielska przysługa potajemnie zrobiona.

Ks. Franczak po apelach, kazaniach, wezwaniach do siebie i prośbach pod adresem nowych sług szatana „posłuszny władzy duchownej która na Ks. Stojałowskiego, jego zwolenników i czytelników rzuciła klątwę kościelną, a Przyjaciela Ludu czytać surowo zakazała pod groźbą ciężkich kar kościelnych, wystąpił do walki z wielką zawziętością, a zdaje mi się z przekonaniem.

Przygotowawszy odpowiedni nastrój w kościele odczytał klątwę i zaznaczył głosem mocnym i niemal grobowym zapowiadając, iż dla nieposłusznych wszelki udział w praktykach religijnych zostanie zamknięty, dopóki się nie poprawią. Nie mogą więc iść do spowiedzi, przystępować do Komunii, trzymać dzieci do chrztu, występować przy ślubach w charakterze świadków a po śmierci nie będą w ziemi poświęconej pochowani. Innym parafianom „jeszcze niezarażonym" zabronił się z nimi stykać, jakiekolwiek posługi im oddawać, lub od ~~nich~~ coś nich przyjmować. Można sobie wyobrazić jaka panika wybuchła w kościele i jak straszny szloch wydarł się z tysiąca piersi. Chłopi pod naciskiem proboszcza i lamentu kobiet czytać zaprzestali, przynajmniej publicznie. Na placu prawie sam zostałem. Całe ostrze walki przeciw mnie zwrócono. Prawie w każdą niedzielę proboszcz oznajmiał z ambony, że ten młokos co mu jeszcze mleko na wargach nie obeschło jest synem szatana, wielkim wszelkiego zła i trucizny diabelskiej, że już zawczasu piekło sobie funduje. Trwało to dość długo aż po rozmowie na ple-

45/ bami, która się skończyła silnem trzaśnięciem drzwiami. Ks. proboszcz wszystkie zapowiedziane rygory do mnie zastosował dodając mi abym się w Kościele nie pokazywał, bo mnie karą Kościelnym wyprowadzić. Za moje zaś nawrócenie kilkakrotnie modły publiczne zarządził. Nie pomogły. Do spowiedzi więc w Wielkanocnych nie chodziłem, nie kumotrowałem ani nie drużbowałem. Z kościoła mnie ruszyć nie próbowano. Wiedziano bowiem, że chociaż byłem dopiero wyrostkiem, miałem się przyjaciół. Mogli spróbować! Za to dewotki żegnały się lękliwie gdy im przyszło koło mnie przechodzić. Było to nieco nieprzyjemne, ale mi żadnej szkody nie przyniosło. Tymczasem, po pewnym czasie gmina i parafia zaczęła się wyraźnie dzielić na zwolenników proboszcza i "moich", słowem że moi mocno ~~zaczęli~~ przeważali. Chłopi mimo nabrali odwagi, kobiety się znacznie uspokoiły. Wiarusów w różnej branży coraz liczniejsze rzesze parafian niewiele ~~coraz mniej~~ pomagało. Ludzie łączyli się ze wszystkiem zaczęli oświecać. Ja też nie próżnowałem, zachęcając do organizacji oświaty i czytania. I to nie tylko pism zakazanych ale książek i tych,

które Ks. proboszcz forsował i uważał rozsądnie. Walka się toczyła nieubłagana, cicha i złośliwa, na wszystkich polach i w każdem czasie prowadzona. Proboszcz miał za sobą ambonę, konfesjonał, ja kilkunastu ludzi odważniejszych i słuszność sprawy której starałem się bronić.

Życie było ciężkie. ~~Ciąg wspólnoty [illegible]~~ Szczególnie ze strony moralnej. Próbowałem szukając coraz bardziej kleszcze rozerwać. Poszedłem dla odbycia spowiedzi do OO. Redemptorystów w Tuchowie. Postawiono mi polityczne ~~[illegible]~~ warunki. Odmówiłem i odszedłem. Poradzono mi ~~[illegible]~~ Ks. w Krakowie. Pojechałem. Spowiednik jakiś nadzwyczajny. Uzyskał się z mojej tajemnicy i wszystko co należało zrobił. Jednak poświadczenia na piśmie odmówił. Dostałem się więc do aktów parafialnych jako niepraktykujący katolik. Trzeba było się i z tym pogodzić. Tak też zrobiłem.

Stałem się ~~[illegible]~~ wreszcie pełnoletnim i pełnoprawnym obywatelem i przystąpiłem do akcji czynnej. Pierwszą próbą sił był wybór trzech członków Komitetu parafialnego. Moja lista uzyskała ogromną większość. Kandydaci Ks. proboszcza otrzymali po kilka głosów. Później się miałem przekonać, że jeśli chodzi o komitet było to zwycięstwo bardzo problematyczne. Siedziałem w Komitecie

50

46. przez kilka kadencji. Jeśli jako przewodniczący, już to jako członek. Miałem najlepszą wolę zrobienia wszystkiego co było możliwe, nie żałowałem czasu i zachodów. Miałem dla swojej myśli i planów wszystkich członków Komitetu nie wyłączając delegata kolatorów. Odbyliśmy grube dziesiątki wielo godzinnych posiedzeń, powzięliśmy tuziny przygotowanych i dobrze przemyślanych uchwał. Sięgnęliśmy do opłat kościelnych, stale zbieranych składek, obowiązku budowy i utrzymania budynków plebańskich. Ks. proboszcz siedział niemo podmęczony, ołówkiem się bawił i notatki robił, czasem głos zabierał. Ani się nie skarżył ani nie protestował, ale jako organ wykonawczy wszystkie nasze uchwały i postanowienia stale i gruntownie sabotował. Czasem się zamiarem pochwalił. Odbywaliśmy otwarte narady, zwoływałem zebrania parafialne na których proboszcz mógł wyłożyć swoje gramotowe odosobnienie. Ale pomogło. Kupowaliśmy wstęgi aby być w zgodzie z Radą, który pisma wysyłały delegacje do Koszalina, szły skargi do władz politycznych. Wszystko nic nie przyniosło. Powzięliśmy uchwały przeciw niemu wyraźnie wymierzone, nie bardzo nawet kurtuazyjne. Milczał długo, potem nas pouczył że Chrystus cierpiał wyrzut,

✗ Samą nasz uchwałę w księdze protokołów dosłownie zapisał.

Kierując się przysłowiem, że gdzie nie można przeskoczyć tam należy podleźć, byle nie swoim kolanem, zwróciłem się do p. Paucza delegata Sanguszków w Komitecie, aby się jakoś z proboszczem dogadał. Wiedziałem, że obaj żyją ze sobą w bliskich stosunkach i wspólnie grywają. Podjął się, zabiegał, perswadował i nic nie wskórał. Żołnierzowany oświadczył mi, że drugi raz takiej misji za żadną cenę by się nie podjął. Widziałem że to jest przyznanie się do bezsilności i przegranej, bo innych ~~dróg~~ ~~dróg~~ szukać nie chcieliśmy. Proboszcz mógł tryumfować!

Cmentarz parafialny okazał się niewystarczający. Ciasno dla zmarłych i względy zdrowotne domagały się zmiany. Na mój wniosek Komitet Parafialny w zgodzie z proboszczem uchwalił cmentarz rozszerzyć kosztem gruntu plebańskiego, przylegającego do starego cmentarza. Gmina się zobowiązała dać proboszczowi podwójny ekwiwalent w ziemi. Umowa została podpisana, grunta odmierzone w obecności wszystkich członków Komitetu, a więc i ks. proboszcza. Mnie upoważniono do wykonania uchwały.

47. Mając obawy że Ks. proboszcz się rozmyśli i swoje posta-
nowienie zmieni zabrałem się zaraz do roboty. Przyszło z całej
parafii kilkaset ludzi z łopatami, zjawili się cieśle, furman-
ki przywiozły materjał drzewny. Kiedy kończono ofosowa-
nie zjawił się Ks. proboszcz. Czerwony jak burak podniecony i
rozgniewany odezwał się do mnie: „Panie pośle. wracam z
Tarnowa, pańskie postępowanie jest gwałtem i bezprawiem
na majątku Kościelnym dokonanym, proszę ludziom polecić
grunt do stanu pierwotnego stanu doprowadzić i ludziom ka-
zać się rozejść." Ks. proboszczowi odpowiedziałem gwałtu żadne-
go nie czynię wypełniam nasze wspólne postanowienia i do koń-
ca je doprowadzę. Ks. proboszcz próbował przeszkodzić robo-
tnikom, wyrywając im narzędzia pracy. Nikt mu nie oddał.
Ks. proboszcz udał się zaraz do Tarnowa, celem wniesienia
przeciw mnie skargi sądowej. Proces o naruszenie w po-
siadaniu przegrałem. Cmentarz został. Stosunki się jednak
zaogniły. Całe duchowieństwo dostało rozkaz aby się odpowie-
dnio do mnie ustosunkować. Ks. biskup Wałęga mój postę-
pek głęboko sobie zakarbował. Doznałem też co mi się należało.
Na dobrym wierzchowcu opisanym w każdej parafii wyty-
kał jeździłem. Do wykonania uchwały Komitetu kosztowało
mię wiele pracy i nerwów. Wreszcie wszyscy zapomnieli;

Najpierw Wierzchosławianie. Oni zapewne nie pamię-
tają ile po wojnie światowej włożyłem trudów, ile nadepta-
łem się po różnych urzędach, by móc zniszczony kościół
odrestaurować, budynki plebańskie odbić, a ich biedaków
od kosztów uchronić. Zresztą wdzięczności się nie spodziewałem,
pierwszym nie byłem, ostatnim zapewne nie będę.

Przyznaję otwarcie, że gdy batalję polityczną z wielkiemi
potentatami [a i z nim] wszelkimi wygrałem, walkę prowadzoną z probo-
szczem Ks. Franczakiem na gruncie Komitetu parafial-
nego w Wierzchosławicach przegrałem prawie że z kretesem.
Co komu [bowiem] przyjdzie z licznych posiedzeń, na co się zdadzą wnio-
ski najlepiej skonstruowane ~~umiejętnie~~; uchwalone mowy, jedno-
myślne uchwały, plany gruntownie obmyślane, jeśli nie zo-
staną w życiu wprowadzone. "Dobremi chęciami djabli w pie-
cu palą." Mając to wszystko na uwadze z Komitetu ustąpiłem.

A dziś? Zapaśnikami już nie jesteśmy. On górując na-
demną wiekiem i urzędem, ja słabością [Przyjazne wystąpienie w stosunku do mnie] ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ niego po raz pierwszy [mogłem zanotować] ~~[illegible]~~, gdy na swoim ju-
bileuszu podniósł do dziesiątej potęgi moje zasługi, zmusza-
jąc niejako innemi słowy obecnych do uczczenia ich
przez powstanie. ~~[illegible]~~

52
48) Dla gromady uczestników było to gruba niespodzianką. Ja zaś nie umiałem ocenić czy się kierował sercem, czy nieświadomością. Tem więcej że zlało się to po moim powrocie z brech i nagonki zwróconej przeciw mnie przez rząd Składkowskiego prowincjowej.
A przecież ks. Franczak zawsze głosił, że wszelka władza od Boga pochodzi, z wyjątkiem tej którą ja sprawowałem. Krętactwa dążeniem spokoju owszem dociekanie mi wielebny przyniosło.
Stare przysłowie głosiło że: "Księże zbieranie, to djabelskie szarpanie." Może to i prawda, ale ks. Franczak przekonał się na sobie że w tym wypadku może ktoś inny djabła wyręczyć. Zebrał on sporo grosiwa, a przed wojną światową szukając dla niego bezpiecznego i wcale nie wpadającego miejsca ulokował go w bankach czeskich. Źle trafił. Dewaluacja zjadła do szczętu jego wieloletnie, sumiennie zbierane oszczędności. Obecnie mimo już bardzo podeszłego wieku, spełnia dalej swoje obowiązki; pilnie baczy by ich komu innemu nie powierzono. Opłaty za czynności kościelne wielokrotnie podniósł, jako że wszystko podrożało, pilnując usilnie by marności z nich wypływające do rąk wikarych dochodziła jak najmniej.

Szkoła. | Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi dostać się do nieba

Jak to już wcześniej nadmieniłem ogół Wierzchosławian nie tylko się do szkoły nie palił, ale czuł do niej wstręt nieprzeparty i nie dające się niczem usprawiedliwić uprzedzenie. Nauka wieczorami odbywała się tu i ówdzie po domach. Na podartym, zatłuszczonym "Łementarzu" pokazywano palcem lub patykiem litery, ucząc na pamięć modlitwy do szumy, niektórych kolend i pieśni częściej używanych. Kilku chłopów z trudem, bo z trudem, ale się umiało podpisać. Nieco młodszych umiało znało ~~więce~~ trochę "pisanego", ~~"dłubiszwało"~~ "na książkach ~~drukowanych~~ zawdzięczając tę umiejętności organistowskiej edukacji. Według ówczesnych ustalonych poglądów taki poziom wykształcenia był zupełnie wystarczający. Byle się podpisać i w kościele różańcem nie brzęczeć. "Chłop zostanie chłopem, nauka mu chleba nie da jeśli nie zapracuje, może tylko w głowie ~~przewrócić~~. Niech się uczą panowie, bo nie mają nic innego do roboty". I tak bywało, panowie się uczyli, zdobywając rozum i władzę, chłopi pozostali nieczuradni ciemni i głupi nie pozwalając się za tę otchłań, ani na krok wyprowadzić. Jak ojcowie tak żyli i dobrze im było z tem. Oni nie dadzą sobie też niewoli szkolnej narzucić. Najgorzej dać panom jeden palec, to oni całego człowieka zabiorą.

Pisarz rozmaryja podanie: listów nie napisał do Rogo.

(54)

Walde dnia 28/10 1949.

49. Właściwie szkoła we wsi już istniała. Umieszczono ją w ciasnej, małej, wilgotnej izbie. Budowa budynku szkolnego stała się więc naglącą i konieczną. Pogłoski o budowie pojawiały się coraz to częściej: chłopi jak zające nadsłuchiwali. Jak tylko zapadło postanowienie we wsi zawrzało. Chłopi stanęli na nogi, aby się przed nowem, ~~groźnem~~ ciężkiem nieszczęściem jak najzajadlej bronić. Pochyłe drzewo po którem ślepy kozy chodziły, wyprostowało się naraz. Z pod skóry potulnych jagniąt powychodziły groźne, ryczące lwy. Chodzono, krzyczano, gromadzono się, grożono sprawcóm, udawano się ze skargą o pomoc do różnych władz i urzędów, pisano prośby i podania, szukając wszędzie ratunku i pomocy przeciw fali nieszczęścia która ich miała zalać. Wszystko nie nie pomogło. Nikt się nieszczęśliwcami nie chciał zająć. Przybici i zrozpaczeni, stwierdziwszy ten smutny stan rzeczy dla siebie, dali za wygraną, postanawiając: że do szkoły jednego dziecka nie poślą. Kto ją postawił niech w niej siedzi. Wielu dotrzymało słowa, szkoła przeważnie świeciła pustkami. Dzieci pasły bydło lub uganiały się za ptakami. Posypały się kary, stosowano przymus. Nie dużo to pomogło: "Przymusowy pacierz nie jest Bogu miły." Zasada ta dla Wiśniowszczan nie była nigdy pośledniem słowem. Ani kary.

Nowy drewniany budynek szkolny stanął na małym placyku otoczonym z trzech stron publicznemi drogami. Plac zaledwie pomieścił sam budynek. Miejsca nie tylko na ogródek dla nauczyciela, ale nawet na wychodki nie stało. Obchodzono się bez nich całemi latami. Zastępowały je rowy i drogi koło szkoły położone. Nawet ostatnie wychodkowe rozporządzenie ministra Składkowskiego nic nie zmieniło.

Budynek mieści w sobie dwie sale naukowe, dość obszerne mieszkanie kierownika szkoły, pokoik na poddaszu dla siły pomocniczej. Szkołę tę zbudował ~~wójt~~ wójt Błażej Wolski narażając się na liczne, nie wiadomo czy słuszne zarzuty i podejrzenia. Do dziś pokutuje przekonanie że p. Wolski z części drzewa na szkołę przeznaczonego zbudował dom dla córki zamężnej Ociurejowej w Biadolinach Radłowskich. Dom ten stoi do tego czasu.

Szkoła ~~ma~~ miała charakter dwuklasówki o czterech oddziałach. Nauka w niej trwała normalnie cztery lata. Przez czas bardzo długi nauki religii udzielał Ks. Franczak. Nie wiem co miał do mnie, bo mimo że byłem najzdolniejszym uczniem i na każde jego pytanie zawsze należycie odpowiadałem, co trochę mnie przejeździł trzciną po plecach. I to dość uczciwie, gdyż ślady przez kilka dni zawsze nosiłem, ~~ukrywając~~ starając się by ich w domu nie widziano. Kiedy raz tej trzcinowej operacji chciał spróbować na mojej dłoni, rękę wyrwałem doprowadzając go ostatecznej pasji.

Grono nauczycielskie ulegało częstym zmianom. Najdłużej trzymał się Kierownik Franciszek Marzec. Był to nauczyciel ponad wszelkie pochwały. Osobiście mam mu wiele do zawdzięczenia. Jeśli więcej umiem niż inni, w wielkiej mierze jego to zasługa. Miał on i inne zdolności. W chwilach wolnych od pracy szkolnej pisał korespondencje i umieszczał wcale udatne wiersze w pismach krajowych, a nawet warszawskich. Umarł w Tarnowie w styczniu 1942 r. w wieku około 90 lat.

Znakomitą wprost siłą z nim pracującą była nauczycielka Marja Jabłońska. Posiadała taki dar wymowy i siłę przekonywania, że trzeba było szukać tępaka żeby jej nie zrozumiał i nauki przez nią głoszonej sobie nie przyswoił. Niestety w bardzo młodym wieku skończyła tragicznie śmiercią samobójczą.

Zdolnym i nader obowiązkowym pracownikiem był Kierownik Adolf Kulczycki. Nie długo jednak dano mu w Wierzchosławicach popracować. Rządy sanacyjne dokonały na nim zawziętej zemsty, gdyż nie mógł czy nie chciał nakazanej mu polityki prowadzić. Nawet wspólne odezwanie się gminy nie mogło mu pomóc ~~go uratować~~. Przeniesiono go i oddalono z urzędu. Jego żonie, także nauczycielce, osobie ciężko chorej też nie podarowano.

Rozrośnięta szkoła wierzchosławicka mieści się obecnie oprócz starej szkoły w kilku obcych salach. Nowy, obszerny, piętrowy budynek szkolny zbudowany na gruncie dawno przeznaczonym szkolnym w skutek wojny nie został ukończony. Miał on mieścić szkołę ludową siedmioklasową. Nadmieniam z przyjemnością, że zachowanie się ludności przy budowie było poprawne i życzliwe. Czas-nauczyciel walnie się do zmiany przyczynił.

A na końcu to samo i tak samo przykre pytanie! Przez szkołę w Wierzchosławicach przeszły trzy pokolenia. Poniszczone ławy szkolne opuściło wiele setek młodzieży. Są już z niej starcy, są w sile wieku, nie brak tych co dorastają. Co oni razem wszyscy wynieśli z tej szkoły? Pomijam tępych, próżniaków i przez Boga naznaczonych niedołęgów, nie umiejących nawet się podpisać, nie chcę ~~za~~ szukać za geniuszami. Przyglądnę się [illegible] tym co szkołę opuścili z dobremi świadectwami. Założę się o wszystko że między nimi nie znajdzie się trzech takich, coby już nie podanie, nie protokół, ale list bez ciężkich błędów napisali. Z tych setek jeden jedyny Jan Gałowski wykierował się na pisarza gminnego i pisarza dla nich. Nawet ci co parę lat edukowali się w Tarnowie, także nic nie umieją, bliscy analfabetyzmu. Drukowane czytają jak i ich dziadowie. Czytają to czytają, rzadko rozumieją.

51. Z pytaniem w tej sprawie zwróciłem się w czasie przerwy szkolnej rozmowy do kierownika p. Kalicińskiego. Po chwili namysłu powiedział: Proszę pana, Uczyłem w różnych szkołach i w różnych okolicach, ale się nigdzie nie spotkałem z tak masowem otępieniem. Myślę że się tu coś w psychice załamało. Zaznaczam że w ostatnich czasach znać pewną poprawę. Może to nie miarodajne, nie jestem lekarzem, ale z lekarzem o tej sprawie kilkakrotnie [?] mówiłem."

Jan Głowacki

Leśny Sanguszkowski Jan Głowacki stanowił typ osobliwego oryginała. Sam wygląd: Twarz brązowo-czerwona szeroka, opasła, piegami zasiana. Kark gruby, krótki sfałdowany, głowa rudawym sztywnym włosem porośnięta. Brzuch jak wór z pierzami, ogromny tułów na krótkich nogach osadzony. Ruchy energiczne, a może nerwowe, twarz rozśmiana [?] lub mocno zasępiona. Strój narodowy nawet na powszednie. Formalnie pełnił obowiązki leśnego pierwszej klasy. Faktycznie dużą przestrzenią lasu władał samodzielnie, nic robiąc sobie nic z nadleśniczego, który się go starał do porządku przywołać. Jan Głowacki miał swego księcia za sobą. W gminie Wierzchosławice sprawował niepodzielnie dyktatorską władzę. Bez jego woli nic się stać nie mogło. Każda rada gminna była jego podnóżkiem, wójt posłusznym lokajem. Nie mogło być inaczej. Głowacki lasem rozporządzał, a chłopi się bez lasu uchować [?] nie byli w stanie. Zresztą bali się jego siły, porywczości, a szczególnie lagi dębowej, którą niejednego bez powodu dobrze wysmarował. Uchodziło to w nieskończoność, bo się nikt nie ośmielił reagować, ani do sądu zaskarżyć. Głowacki miał wpływy, pieniądze i mógł zrujnować i lasu na zawsze wyzuć. A to groziło wprost katastrofą. Ani siana, ani drzewa, ani żadnego zarobku.

Głowacki prenumerował kilka gazet, ale ich nie czytał a bardzo rzadko rozcinał. Posiadał bardzo dużą bibljotekę, ale do niej nie zaglądał. Rzadko też udało mu się kogo do czytania namówić. Chłopi bali się progu mieszkania Jana Głowackiego przestąpić jak nie musieli. "Djabli wiedzą co mu strzeli do łba, lepiej porady nie robić. Innym razy [?]. P. Głowacki był z natury awanturnikiem, wdającym [?] wiele przygód [?]

szlacheckim. Nigdy się nie widziało, czy on zbliżając się do kogo powita go uprzejmie, czy pała po grzbiecie poruszając.

Sanguszkowie używali go też jako specjalnego agitatora, zaopatrując dobrze w argumenty brzęczące. Innemi nie umiał on się zbyt dobrze posługiwać. Mówcą nie był. Wysyłali go też na różne zjazdy jako przedstawiciela chłopów. Pojechał nawet do Wiednia. Jedyne co z wymarskiej pielgrzymki dobrze zapamiętał i często opowiadał był ordynarny psikus wypłatany jednemu z księży na sali noclegowej.

Jan Głowacki urodził się w Wierzchosławicach jako dziecko bardzo ubogiej rodziny. Powszechnie mówiono, że jest to nieprawy Kobyły źrebię, a nazwisko jego rzeczywistego ojca w księgach metrykalnych nie figuruje. Powstanie z roku 1863 zastało Głowackiego jako ucznia gimnazjum tarnowskiego. Mimo zakazu matki poszedł do powstania wraz z innemi uczniami. Po kilku tygodniach wrócił do wsi zaznaczając, że takiej paskudnej roboty prowadzić nie będzie. Do szkoły z powrotem nie dał się żadnym sposobem zapędzić. Matka długo nie dawała za wygraną. Jaś porzucił ją i postawił na swoim.

Dla matki starszej już i schorowanej kobiety przyszły ciężkie dni ziemskiego żywota. Synek robił co mu się podobało, nie zważając na jej prośby, lamenty, płacze, narzekania. A robił źle. Nie ~~ch~~ imając się żadnej pracy wałęsał się całemi nocami po wsi płatając figle ~~coraz~~ jakie mu bujna jego wyobraźnia przyniosła. Ponieważ te jego wybryki przynosiły często dotkliwe szkody i przykrości gospodarzom zwracali się do matki z żądaniem trzymania synalka w ryzach, a nawet wynagrodzenia szkody. Mogła na to tylko płaczem odpowiedzieć, bo sama miała z nim najwięcej przykrości.

Do wojska go nie wzięli, bo jak chłopi powiadali, miał jedną nogę "felesną". Ta felesna noga nie przeszkadzała mu urządzać bitek i coraz większych awantur, stając się dla wsi prawdziwie ciężkiem utrapieniem. Młody zabijaka cieszył się we wsi i okolicy jak najgorszą opinią.

Powszechne też było zdumienie kiedy sam Książę Sanguszko nadał mu posadę leśnego, na specjalnych prawach i w miejscu które uważano za najlepsze. W leśniczówce

53/ na Szujcu osiadł, ożenił się, służbą się zajął i nieco się nawet
uspokoił. Albowiem w nowych warunkach postępowanie zmienił.
Jako uczony i „mędry" zajął pierwsze miejsce pomiędzy leśnymi
traktując ich nie jak kolegów lecz parobków i poddanych. Mimo że
o nim to dotkliwie odczuwali milcząc, bo się przeciwstawić nie u-
mieli, a służby w lesie porzucić nie chcieli. Były jakieś grosze, opał,
pasza, a zresztą nie wszystko w lesie zachowane. Okolicznością
łagodzącą było że Głowacki od czasu do czasu dał wódki półkwarty
i kiełbasę z czosnkiem zakąsić. Że tam nagadał, a nieraz dał
szturchańca, to na te rzeczy nikt z nich zbytnio nie zważał.

Głowacki zaczął raptownie porastać w pierze uzyskując nad
wyraz pomyślne położenie. Zbierał grunt służbowy, dokupił
kilkanaście morgów, tz. Stodółkę wyprocesował. Kilkadziesiąt
sztuk bydła trzymał, paszy ani siana nie kupował, grunt do-
brze nawoził. Bezpłatnych doskonałych robotników miał więcej
niż ich potrzebował. Płody rolne, krowy, jałowice i świnie za do-
bre pieniądze sprzedawał, pensję niezgorszą pobierał. Nad wszyst-
kimi we wsi majątkiem i wpływami górował, niekończenie.

Swoje wszechwładztwo nad [illegible] rozszerzył, pogłę-
bił i ustalił. Radnymi gminnemi jak pies flakiem potrząsał. U-
wagi radnych, bardzo rzadkie i bardzo pokorne lekceważył i o-
śmieszał, zamykając im usta na przyszłość. Wójtów po jego myśli zre-
sztą wybieranych rozpajał, demoralizował, ich złodziejstwa, gospodarkę
swoją powagą osłaniał, przed władzami bronił. Jakaż zresztą wła-
dza mogłaby się magnatowi [illegible] przeciwstawić? Starost-
wo i rada powiatowa były za nim. Ksiądz za nim, nauczyciel
żandarm i wszelkie inne urzędy także z nim.

Wójtem być nie chciał, żeby nie brać wyraźnej odpowie-
dzialności na siebie. Lepiej i wygodniej obcemi rękami dla
siebie kasztany z ognia wyciągać. Od tego zresztą kowal ma
obcęgi aby sobie rąk nie parzyć." On to na wielką skalę i prze-
ciągły czas praktykował z pożytkiem dla siebie i swoich.

Na Radzie gminnej i wójcie Kosiałym wymógł sprzeda-
nie mu lasu gminnego za drobną cząstkę wartości. Było to
tem więcej krzywdzące i przykre że las ten stanowił zapła-
tę za usługi przez setki lat, przez ludność dworowi oddawane.

58

54. Kiedy ojciec przyszedł do domu z posiedzenia Rady gminnej na którym sprzedaż lasu postanowiono zapytałem dlaczego do takiej uchwały dopuścili. Zmartwiony odrzekł: (Głowacki) „Ja za tem nie głosowałem, a jakem się sprzeciwił odezwali to mię zakrzyczeli. Było nas kilku, co było można zrobić. A co teraz robić, zapytałem, poszli do karczmy brzmiała odpowiedź. Ojciec przez dłuższy czas nie mógł się uspokoić. Rada powiatowa tarnowska mimo protestów uchwałę zatwierdziła. Głowacki na tej krzywdzie gminy zrobił doskonały interes.

Figlów i awantur nie zaniechał nigdy nawet w podeszłym wieku, jakby bez tego żyć nie potrafił. Bykom okowitę poił i na wieś puszczał, a gdy przed oszalałym bydlęciem ludzie uciekali i wpadali na „pysk" do rowów, klaskał w dłonie i śmiał się do rozpuku. Błotem obrzucał kobiety idące do kościoła, szczuł psem, lub go na nie rzucał. Kpił ze śpiewu, mowy, chód, ruchy naśladował i przedrzeźniał. Niby nieumyślnie potrącał, łapą uderzył, zdziwionego udając. W karczmie parobkom wódkę fundował, bijąc ich w mordę za każdy kieliszek. Nie było człowieka, przedmiotu, sprawy którychby się nie czepiał.

Jeśli rano znaleziono wóz dyszlem tkwiący w słomie, jeśli ściany świeżo obielonego domu obrzucono ludzkiemi odchodami, jeśli pniaki rozłożono po ogrodzie, jeśli na drzwi wchodowe kawałów drzewa nakładziono, by runęły na tego kto je pierwszy otworzy, jeśli części wozu zostały po polu rozniesione, to każdy wiedział że to najpewniej sprawki zastępcy wójta, lennego Ks. Sanguszki, pokuta na okolicę Jana Głowackiego. Uwierzono w szczerość kiedy dzieciaki tylko "skurwował", a chłopów na grunty wyprzeklinał.

Dostało się też niegdyś proboszczowi Ks. Franczakowi, jedno z licznych wydarzeń. U proboszcza odbyło się dość suto przyjęcie. Mimo postnego dnia miało nie braknąć mięsnego. Głowacki był jednym z dość licznych uczestników. Za kilka dni ukazały się we wsi plakaty na miejscach najbardziej widocznych rozlepione dotyczące "Księżego występnego balu w dzień postny." Cała wieś dowiedziała się dokładnie ile wypito wódki, piwa i wina, ile zjedzono kurcząt, gęsi i indorów. Można sobie wyobrazić co się po tem działo. Tak we wsi wśród dotąd przychylnie proboszczowi usposobionej wioski, jak i na probostwie. Proboszcz z ambony złorzeczył podłe oszczerstwo, rzucając gromy na tego co przy "świetle diabelskim" podobnych czynów się dopuścił. Głowacki

autor paszkwilu należał do tych co najgłośniej swoje oburzenie wypowiadali. Proboszcz też doskonale wiedział kto go tak urządził, ale nie chciał tego publicznie ujawnić. Nie należało.

Sprawiedliwość każe mi podkreślić iż były momenty kiedy Głowacki starał się chłopom dopomóc. Dawał wskazania natury politycznej; namawiał do porozumiewania się przy licytacjach zwózce drzewa, robotach leśnych i polnych. Nie wierzono mu, a na dodatek ciągle przed jego chlebodawcami oskarżono, pism im podsuwanych nikt prawie do ręki nie wziął; książek ręką nie dotknął.

Widać że to odruch bolesny bo później po latach o tem mi opowiadał Kończarz: "Gardzę niemi wszystkiemi. Nie mają charakteru ani za centa odwagi. Każdy widzi tylko siebie i każdego kupić za grosze można." Milczałem nie chcąc się z nim spierać. Burzliwy żywot zakończył Głowacki w nędzy i poniżeniu, opuszczony przez wszystkich. Może ~~tego~~ nawet tego nie odczuwał, mając umysł coraz bardziej zamroczony. Z wielkiej fortuny szczątki pozostały. Głowackiego rzadko kto pamięta i rzadko kto wspomni. Nawet bliscy.

Napisałem o nim wiele, jeszcze więcej ominąłem. Kończąc zaznaczam z naciskiem: "Mnie Głowacki najmniejszej krzywdy nie uczynił a zrobił wiele dobrego, oddając do mojej dyspozycji bibliotekę z której bezpłatnie tak wiele korzystałem. Wojna światowa zniszczyła ją prawie zupełnie. Resztę zabrała rodzina jako sprzęt zbyteczny, nie znalazła u niej książka zainteresowania, ani opieki."

Gmina i wójcia

Mówiąc wówczas o gminie można było mieć na myśli dwie osoby, a to wójta i pisarza. Oni bowiem byli wszystkiem, a gmina ich objektem eksploatacyjnem. Wójt rządził się niepodzielnie sam z pisarzem, rada gminna stanowiła dekorację wyłącznie zbyteczną. Wójt gminę reprezentował przed władzami, wszystkiem zarządzał. Wójt sądził, wyrokował, wyroki wykonywał. Od jego wyroków nie było apelacji ani odwołania, o ile był dobrze u władz zapisany. Sądownicze uprawnienia wójta zakreślały bardzo szerokie kręgi. Sądził złodziei, pijaków, szkodników polnych i leśnych, obrazę honoru, niesłuszne posądzenia, powolanki, nocne awantury, zaorania miedzy i drogi, bitników, włóczęgów i opryszczających i tak dalej i dalej, bo życie wciąż coś nowe niosło.

Trybunał wójtowski składał się przeważnie z wójta i z dwóch przysięgłych, siedzących przy wójcie, w pobliżu ławy i uzbrojonych. Ich zadaniem było dodawanie wójtom splendoru, poskromienie podwładnych, gdyby należycie sądu nie szanowali. Do nich też należało odprowadzanie podsądnych do dworu i „sypanie kijów” wyrokiem zapadłym. Sądy odbywały się przeważnie w karczmie, a areszt stanowiła obskurna buda w sąsiedztwie Kościoła ustawiona. Składała ona się z czterech ścian z ogromnemi szparami, nigdy nieopalana, wszelkich urządzeń wewnętrznych pozbawiona. Nawet podłogi, lub garstki słomy. Na dodatek buda śmierdziała jak nieczystości, stanowiąc publiczny wychodek w czasie w którym nie była zamieszkaną. Gospodarzy lub wójtowi niemiłych „przestępców” prowadzono do budy w czasie gdy ludzie szli do Kościoła, aby im zrobić większy dyshonor.

<u>O wyroku decydowała</u> nie wina, lecz sąsiedztwo, kumoterstwo, znaczenie we wsi, flaszka wódki, ćwiartka piwa, lub jakiś reński zręcznie wójtowi do ręki wsunięty. Żałośnie wyglądała sprawa kiedy sędziowie na „kwasz” za dużo chlapnęli. Bardzo często się zdarzało że zasądzono obie strony, a więc skarżących i oskarżonych na pewną ilość trunków, wspólnie i zgodnie wypijanych. Nie chcących płacić zasądzonych fantowano zabierając im poduszki, pierzyny, kożuchy, a nawet coś ze stajni. O ile zasądzony fantów tych nie wykupił szły w ręce Żyda, zawsze gotowego do zrobienia przysługi. Łzami, płacze narzekania na nic się nie zdały. Serca wykonawców sprawiedliwości były nieugięte. Raz, pamiętam, zdarzyło się że Marja Bodziachowa, której zabrano pierzynę zaskarżyła wójta Kosiatego do sądu i sprawę wygrała. Kosiaty musiał pierzynę zwrócić i koszta sądowe zapłacić. Sprawa stała się głośną i spowodowała większą ostrożność u możnowładców gminnych.

Łapówki brano za wszystko, uważając je za rzecz całkiem naturalną. Bez grubej łapówki nie można było pożyczyć grosza z kasy gminnej; za łapówkę odraczano uiszczenie raty i procentu, bez łapówki nie dostawało się świadectwa, ani pieczęci, bez względu na to czego one miały dotyczyć. A życie spraw różnych przynosiło wiele. Za łapówkę zwalniano od szarwarków, od warty gminnej, dawano tajne zlecenia itp.

Dwór starał się każdego wójta zrobić dla siebie przychylnym i to mu się bez wielkich trudów i kosztów udawało. ~~Kilka~~ Sąg drzewa, fura siana, lub słomy, drobne przysługi i wyróżnienia. Żalo dworowi tylko

57. wójt dawał w dzierżawę prawo polowania w gminie, uważał na szkodników, szedł dworowi na rękę w sprawach politycznych.

Do Żydów karczmarzy odnosił się wójcie na pozór z wyniosłem lekceważeniem. To im nie przeszkadzało by na nieznaczne skinienie żyda wśliznąć się do alkierza, wydobyć flaszkę szabasówki; zakąsić śledziem specjalnie przyrządzonym, napchać kieszenie macami i zrobić wszystko czego Żyd wiedział.

Gdyby w jedno miejsce zebrać łzy wylane przez pokrzywdzonych i poniewieranych powstałoby z nich wielkie słone jezioro. Gdyby zebrać krzywdy i szkody przez urzędy gminne ludności poczynione powstałaby góra wyższa od wieży kościelnej. Jakie zemsty i przekleństwa ~~mogły~~ rzucane na głowy wójtów i pisarzy ~~mogły~~ stałyby się ~~stał~~ ciałem, to adresaci wpadliby żywcem na samo dno piekielne. Ale Bóg jest nierychliwy, ludzie zapominają. Bo i jakże? Wójt robi wybory. Losy chłopów w ich ręce złożone. Godzina oznaczona minęła, nie ma nikogo. Czeka i wygląda nikogo. Posyła przysiężnych, by z domów najbliższych wyciągli bodaj tylko uprawnionych, ażeby z nich komisję wyborczą utworzyć. Pismo Święte mówi że wbrew woli człowieka nie można go zbawić. Chyba mówi prawdę.

Wójt Duda.

Najwięcej, najbardziej gorzkiego i nigdy nieukojonego żalu miała wieś do wójta Dudy. On miał wszystkie ogromne uprawnienia leśne zaprzepaścić. Sanguszko magnat chciał okazać nie tylko dobrą wolę ale wielkopańskość ~~do~~ przyjeżdżając osobiście do Dudy i dając gminie za jej uprawnienia ogromny przestrzeń lasu. Za każdym jego przyjazdem Duda się chował, a Sanguszkowska czwórka wracała do Gumnisk. W końcu Sanguszko się zniecierpliwił, oddając sprawę sądom. Rezultat dla gminy był więcej niż opłakany. Pełnomocnicy przez gminę wybrani gruntownie zawiedli.

Wójt Błażej Wolski.

Żołnierz austryacki we wojnie włoskiej "pleizerowany" pobierający ze "stajeramtu" niewielkie zaopatrzenie, ciałem i duszą cesarzowi oddany, czego mu za złe poczytać nie należy. Takie były czasy. Uważając się za szlachcica zwykł z góry na chłopów spoglądać. Z powodu jego wyglądu i nieznacznego zachowania złośliwi nazywali go Kotkiem. Wiedziano o nim powszechnie że trzyma z panami. Od innych wójtów nawet się dość korzystnie wyróżniał. Nie przeklinał ~~ludzi~~, ich nie bił, do dziury nie zamykał zostawiając to zadanie przysięgłym. Szklanką i kieliszkiem nie gardził, ale miary nie przebrał,

Wbrew temu co robili inni zyskując gospodarczo nieźle sobie ugruntował. Wykroczeń o które go posądzono podobno nie popełnił. Chodziło o zabranie części drzewa szkolnego.

Wójt Śledź Bartłomiej.

Mieszkał tuż przy szkole i codziennie drogą koło mej przechodził. Widziałem bardzo często, stawiając sobie pytanie: czy każdy wójt musi być taki gruby i w białym kożuchu chodzić. Posiadał średnie gospodarstwo, podpisać się umiał, drogą utartą przez innych chodził. Własnej nie szukał i znaleźćby nie mógł. Nic specjalnie szkodliwego nie zrobił. Piwa znacznie więcej od innych wypił. Przeważnie za swoje.

Wojciech Kosiały.

Z wyborem Wojciecha Kosiałego wiązała wieś bardzo daleko idące. Wszystko wrócić zdawało się za ~~tem~~ nim przemawiać. Młody, energiczny, śmiały, zdecydowany, zdolny i już doświadczony, publicznie potępiający starą klikę opojów i ich postępowanie. Że nadzieje były i zostały matką głupich, mieli się ludziska jeszcze raz przekonać, by więcej nie wierzyć.

Istotnie Wojciech Kosiały zachowywał się bez zarzutu. Trwało to tak długo dopóki się z Głowackim nie zaprzyjaźnił i nie zaczął w Karczmie pod Borem wysiadywać, zaniedbując swoje obowiązki i gospodarstwo. Ponieważ libacje urządzane z Głowackim grubo kosztowały, zaczął zaciągać długi i sięgać do pieniędzy gminnych, a nawet prywatnych. Dotyczyło to podatków, kasy gminnej i budżetowej, a może najwięcej przesyłek drogowych. Pod tym względem Kosiały prześcignął wszystkich swoich poprzedników. Pozbył się pisarza gminnego Wawrzyńca Pulenika, aby nie mieć koło siebie żywego i stałego wyrzutu sumienia. Przyjęty nowy pisarz Jakób Stawarz z Ostrowa, stał się nie tylko prawą ręką, ~~podporą~~, ale i wyręczną we wszystkiem i dla wszystkich, a przedewszystkiem dla wójta Kosiałego. On rozwiał u niego resztę skrupółów, wiele mu pomagał i skutecznie bronił. Nikt nie miał odwagi przeciw niemu wystąpić, bojąc się jego pańskiego wyglądu, uczoności i bezwzględności przedewszystkiem. Kosiały szalał.

Zaczęła się przebierać miara. Zaczął też niejeden nabierać nieco odwagi. Kiedy Kosiały należytości przesyłkowe pociągał po kilka razy ludzie nie wytrzymali. Poszli gromadą do Rady powiatowej ze skargą i z dowodami w ręku. Przyjechał sekretarz, obległy go gromady ludzi, rozpoczęło się badanie. Choć sprawa była jasna jak słońce wiosenne, chłopi z kretesem przegrali. ~~Chłopi~~ Swoje kwity nosili nadal w kieszeni, Kosiały nie zwrócił nikomu ani złamanego szeląga, robiąc się zupełnie nie czuły na wszystko.

59. A to wszystko, to krzywda ludzka, przekleństwa, pokrzywdzonych pomsty, złorzeczenia, na jakie się język ludzki mógł zdobyć; Nareszcie "przyszła kreska na Matyszka". Pewnego dnia przybył egzekutor celem dokonania wstępnych czynności dla sprzedania gruntu Kosiatemu. W ten sam dzień pijany Kosiaty spadł z wrot-ucy na boisko i potłukł się dotkliwie. W domu krzyk i lamenty nie do opisania. Wszystko popadło w rozpacz oprócz Kosiatego. On się zwlókł, odrębny kawałek gruntu sprzedał, pieniędzy trochę pożyczył, sprzedaż gospodarstwa odroczył. Z karczmą się pożegnał, do roboty zabrał wraz z dziećmi, długi ciążące na gospodarstwie ciążące pospłacał, parę tysięcy koron gotówki uskładał. Tylko pieniędzy należnych gminie nigdy nie spłacił. Przez szereg lat wstawiono je w budżet gminny jako należytość od Kosiatego, w końcu zupełnie skreślono, nie chcąc chodzić po sądach. Główną zasługę w tym przypadku p. Słowanowi. Noga mój wspiera.

Pamięć ludzka nie bywa zbyt długa. Umarł też wszystkich i tak ciężkich przewinień Kosiatemu zapomniano. Imponowała jego prawo-pewność siebie i energiczność. Kosiaty wszedł do Rady gminnej; wybrany go członkiem Komitetu parafialnego, prezesem Rady nadzorczej Kasy Stefczykowskiej. Obowiązki swoje spełniał szereg lat bez zarzutu.

Mnie w czasie rozmowy członków Komitetu z Ks. biskupem Wałęgą w czasie wizytacji nawarzył gorzkiego piwa, atakując proboszcza dość nieprzyzwoicie i zachowując się wobec biskupa bardziej niż swobodnie. Biskup czuł się onieśmielony, a pewnie i niezadowolony. Ja na tem najgorzej wyszedłem, bo władza duchowna była przekonana że Kosiatego do tego wystąpu podmówiłem i długo mi to zapamiętała. Ciekawsze tej rozmowy fragmenty podaję. Biskup do nas: Macie jakie zarzuty przeciw proboszczowi? Kosiaty: Jeszcze mamy, dwie skóry z żywych i umarłych, choć mu nie potrzeba. Biskup: Jak się Ks. Fronczak zachowuje w Kościele? Kosiaty: Między całemi godzinami powtarza wiecznie to samo, chłopy wychodzą z Kościoła, a baby zasypiają. Inne odpowiedzi dotyczyły już biskupa i delikatności się nie odznaczały. Myśmy tz. wójcia z parafii i członkowie Komitetu parafialnego stali jak na węglach rozżarzonych, a on nawet brwiami nie poruszył. Takim do śmierci pozostał. Na podstawie zapodanych przeze mnie danych, może sobie każdy opinię o tem bądź co bądź niecodziennym chłopie wyrobić.

Tomasz Bryl.

Po ustąpieniu Kosiatego odbyły się wybory do Rady gminnej. Rozgoryczeni do żywego Wierzchosławianie zbojkotowali je zupełnie. Nic mądrzejszego nie umieli zrobić. Przysiółek Gosławice cały do wyborów i Rady gminnej w zupełności opanował; ludność Wierzchosławic dopiero się spostrzegła gdy musiała do odległej o kilka kilometrów Gosławic chodzić po błocie, łapówki dawać i na przykrości się narażać. Został wybrany wójtem Tomasz Bryl.

Chłop ogromny i otyły, najbogatszy z całej wsi gospodarz, ciemny, zacofany, ograniczony, nad wyraz i na wszystko, z trudem się podpisać umiejący. Kroku bez zapłaty nie zrobił. Trochę przyczajone lichwiarstwo na słońce wyprowadził. Brał gdy dusić, nie gardził małem. Klął, poniewierał, wyśmiewał i popychał ludzi wstępujących w jego sieni nieraz całemi dniami. Dopiero jakaś choćby drobna danina przywracała mu humor. Rządy za niego sprawowali dwaj Stawarze, wyż wspomniany pisarz i drugi Wincenty gospodarz umiejący się dorabiać wszelkiemi niezawsze dozwolonemi sposobami, śmiejący się z Bryła po za jego plecami. Nic za darmo nie zrobił, długo i dość mocno na dwóch stołkach siedział. Nawet przysłowie o uchu od dzbana nie dało się do niego zastosować.

Jan Stawarz.

Następne wybory do Rady gminnej odbyte w domu Bryła w Gosławiach nie były sielankowe. Rządząca klika chwytała się terroru, przekupstwa, fałszerstw, byle się tylko przy władzy utrzymać. Bryl przerażony moją działalnością powiedział do żony dosłownie, gdy była u niego po paszport: "Ty tu do mnie prosić przychodzisz, a ten twój chłop smarkaty dołki kopie pod nami; ale się nie dowa, o nie dowa." Nie zrażając się niczym poprowadziłem dalszą robotę i stanąłem ze swoimi do wyborów. Dały one nam ogromną większość głosów. Inaczej się stało z mandatami radzieckiemi. Dzięki kombinacyjom i machinacyjom, tamta strona otrzymała o jeden mandat więcej. Mój rekurs się nie utrzymał, wybory zostały zatwierdzone. Nie pomogła interwencja posła Olszewskiego, u którego z Borynką Józefem byliśmy w domu. Jednym głosem większości został wójtem wybrany zięć Jana Głowackiego Jan Stawarz. Stawarze opanowali władzę.

Nowy wójt był dobrym człowiekiem tylko niesłychanie słabym. Trzymany przez brata Wincentego, Radę i pisarza Stawarza w szachu nie mógł się na konieczne zmiany zdecydować. Walka o zmiany przeprowadzona przeciw klice musiała w niego trafiać. A w walce tej nie ustawaliśmy ani na chwilę; mimo fizycznego terroru jaki wobec nas przeciwnicy stosowali, korzystając z tego że posiedzenia Rady gminnej odbywały się w domu wójta. Byli odważni bo na swoich śmieciach. Mimo wszystko niejednokrotnie uzyskiwaliśmy większość. Wobec naszych argumentów tamta strona zaczęła kruszeć na dobre. Ich słabi radni nie mogli nam sprostać, ani godzinami drążyć. Głowacki obrony nie prowadził, pisarz Stawarz biernie się zachowywał, Wincenty Stawarz prawie zawsze lawirował. Myśmy przed sobą mieli prostą drogę. Moi towarzysze boju zasługują na pamięć i na uznanie. Byli nimi: Antoni Bartnik, Józef

Mularz, Śledź Franciszek, Józef Bryl, Karol Niedojadło, Wojciech Lorkiewicz, Michał Bucharz, Jan Bodziocha, Franciszek Stawarz, Bąk Wojciech, Skura Wincenty, Wit Fornal. Jedyny Bucharz Franciszek Kurtyka zawsze dopisał, nigdy się nie spóźnił ani nie zawiódł. Prawie wszyscy należą już do umarłych.

Jan Stawarz pił i drugim dawał, ale płacił swoimi pieniądzmi. Urzędowanie kosztowało go parę morgów pola, które sprzedał, aby braki wyrównać. Tu był bez zarzutu.

Pan Stawarz.

Tem mianem nazywano powszechnie pisarza gminnego Jakuba Stawarza, podkreślając niejako jego urzędy, stanowisko i uczoność. Pan Stawarz kształcił się na Uniwersytecie Krakowskim, dyplomu nie dostał, ale przywiózł sobie Krakowiankę, z którą się ożenił. Chcąc sobie dorobić do gospodarstwa, którego dochody nie starczyły na pańskie życie, objął pisarkę w gminach sąsiednich, a ponadto zdobył dobrze płatną posadę cesarsko-królewskiego rewizora bydła. Wolnomyśliciel, kawalarz i kpiarz był bolesnym cierniem wbitym w piętę Ks. proboszczowi. Nie dało się mu nawet upomnieć, bo gdy proboszcz co powiedział, to Stawarz dziesięć razy więcej. Sam nie praktykując znęcał się po prostu nad pobożnemi kobietami szydząc z nich niemiłosiernie zapowiadając: że on pod nimi i proboszczem będzie w piekle najmocniej palił. On pójdzie do piekła bo się nie modli i nie spowiada, ale one też bo praktykują fałszywą pobożność samego Boga oszukując. Przy każdem skupieniu sypał tak tłustemi żarcikami, że kobiety jak Turczynki twarze zasłaniały. Mężczyzn też nie oszczędzał.

Te jego popisy zawsze wesołe ale często nieprzyjemne, znosili ludzie wobec tego, że bez Stawarza „pana” nikt nie mógł obejść się; Zdolny, dość wykształcony mógł zrobić bardzo wiele, gdyby był tylko chciał. Ponieważ żadnego zagadnienia poważnie nie traktował, wójtów na złe drogi prowadził, ich łajdactwa bronił, dobrze u ludzi zapisać się nie mógł. Postponowany przez niego ks. proboszcz doczekał się jednak na tem świecie zwycięstwa nad nim. Pan Stawarz przed śmiercią się wyspowiadał i Sakramenta przyjął. Nic więc dziwnego że uszczęśliwiony proboszcz publicznie to w kościele ogłosił —

Wybory gminne przeprowadzone przy końcu urzędowania Jana Stawarza dały mi w ręce całą Radę gminną, mimo gorliwych zabiegów i pomocy proboszcza przeciwnicy moi nie otrzymali ani jednego miejsca w nowej Radzie. W tem miejscu czuję za obowiązek zaznaczyć że do tak świetnego wyniku znacznie się przyczynił Paweł Bogusz z Gostawic który przyjaciółek Gostawic zdołał na naszą stronę przeciągnąć, wbrew najbliższym.

Moje urzędowanie.

Nowa Rada gminna wybrała mnie jednomyślnie wójtem. Stało się to w kilka dni po moim wyborze na posła Sejmu galicyjskiego. Urzędowanie objąłem niezwłocznie, przeciwnicy zaniechali zamierzonego protestu. Słabiutkie ich szeregi stopniały do reszty. Majątek gminny jaki od Jana Stawarza odebrałem składał się ze skrzyni drewnianej i trochę papierów. ~~Stan~~ Gospodarkę gminną zastałem w stanie opłakanym. Kasa gminna pożyczkowa w znacznej części pomiędzy niewypłacalnych dłużników rozdzielona, pastwiska gminne zaorywane i niszczone. Błonia nieprawnie domami i szopami zastawione, płotami zagrodzone, zabieraniem ziemi uszczuplone. Stan hipoteczny ze stanem posiadania rzadko bywał w zgodzie. Ponadto ludziska na umór w pastwiskach i na wsiach kopali doły zabierając ziemię i glinę dla siebie, bez zapłaty i bez potrzeby niesz, Drogi których gmina posiadała ponad 30 klm. prawie wszędzie przez sąsiadów zaorane, stanowiące kałuże i wyboje nie do przebycia prawie. Były miejsca, które ze strachem omijano, przejeżdżając przez grunta sąsiedzkie wywołując kłótnie awantury i sądy. W bardzo wielu punktach dwa wozy nie przeszły koło siebie. W hipotece droga jak łan dworski szeroka, na gruncie wąziutki i błotnisty przesmyk. Najgorszy że się nikt do żadnej winy nie poczuwa. Rowy polne i drogowe przez lata nieczyszczone, grunta stale zalewane. Nauka idzie kulawo, bo szkoła dziećmi po powałę zapełniona. Trudności codzienne wynikające wynikające z życia i warunków.

Miałem dobrą wolę, zdolności i poparcie całej gminy, a jednak tyle ile się po mnie spodziewano nie zrobiłem. Powiadają niektórzy że nie chciałem. Nie chciałem i nie mogłem. Nie chciałem by Wierzchosławice żyły wyłącznie kosztem powiatu i kraju, dlatego o różne daniny, wyglądające na jałmużnę nie zawsze zabiegałem. Nie mogłem odwrócić wojny, zabronić rekwizycji i kradzieży, uwolnić wszystkich od służby wojskowej, postarać się dla wszystkich o zasiłki i zapomogi. Nie mogłem za czasów zaborcy, nie chciałem gdy Polska powstała, bo to było nie wolno.

63. Nie mogłem dać swojego gruntu na rozszerzenie drogi za tych co tę drogę zaorali, bo gruntu tego nie dało się przenieść, a gdyby się dało i tak tego nie zrobiłbym, gdyż by go nie starczyło. Nie mogłem uwolnić wszystkich od kar za nieposyłanie dzieci do szkoły, gdyż bym przez to dowiódł swojej głupoty, a dzieciom owem krzywdę wyrządził. Nie mogłem za każdym biegać do sądu i interweniować, w starostwie, gdyż były sprawy których się wstydzić musiałem. Nie mogłem tolerować awantur synów, dlatego że ojcowie byli mi bliscy. Nie mogłem przy odbudowie popierać kmieci którym zniszczono wrótni do stodoły, lub drzwi do chlewa, ale stałem za temi, co nie mieli nie tylko drzwi, ale dachu nad głową. Nie stanowiło dla mnie żadnego argumentu milczenie ubogich i narzekanie bogatych. Nie mogłem wykopać rowów omszałych za tych co mieli obowiązek i dobry interes. Nie mogłem przywrócić serwitutów i tak w lesie przez Sanguszków zabranych, gdyż nie miałem siły, ani prawa. Miałem natomiast możność postawienia wniosków w sejmie, to co też uczyniłem. Zmiany polityczne nie pozwoliły sprawy do końca doprowadzić. Nie tylko tej, ale wszystkich podobnych. Nie mogłem dać nikomu gruntów dworskich za darmo, bo nie miałem do tego możliwości i to się nie zgadzało z moim przekonaniem. Nie mogłem i nie chciałem zdobywać zwolenników kieliszkiem wódki i rozdawaniem wiktuałów jak to np. czynił hr. Lubieński, za którym najbardziej łakomi w galop polecieli. Nie mogłem zapobiedz zdewaluowaniu się wkładek w Kasie Stefczyka, bo to nieszczęście dotknęło wszystkich. Nie mogłem robić rzeczy niedozwolonych, z prawem kolidujących po to, by się najgłupszym przypodobać. I nie robiłem.

Natomiast uwolniłem ludność od zmory łapownictwa, korupcji, ucisku, wyzysku, poniewierania, upodlania. Chyba to bez wartości nie jest. Uregulowałem opłaty nie krzywdząc nikogo. Starałem się by dobro gminy zabezpieczyć, stan anormalny zalegalizować, winnych do zapłaty zmusić. Miałem na myśli błonia i pastwiska gminne. Nie udało się. Wojna przeszkodziła, inżynier Kownacki zawiódł. On ale nie ja. Moja wina w tem że go wybrałem. Mógłbym na swoją obronę podać że mi go ze strony rządowej polecono. Drogi na możliwej stopie postawiłem. Nikt nie zaprzeczy że wszędzie pierwszy byłem i swoją furmankę posyłałem, nie mówiąc o trudach które ponosiłem i subwencjach które wyrabiałem. Użeranie się z temi co drogi ongiś zaorali, do przyjemności też nie należało.

Grunt pod budowę szkoły kupiłem, jak i kilka placów
w miejscach najlepszych. Dom ludowy, poważną placówkę
kulturalną do skutku doprowadziłem. Oprócz kilku lat
pierwszych za swoje czynności grosza nie wziąłem, na urzę-
dy i sądy bezinteresownie wychodziłem. W czasie wojny świa-
towej zrobiłem więcej niż powinienem narażając zdrowie i
życie. Kiedy jako obwiniony stanąłem przed austriackim
sędzią śledczym ze świadkami żandarmami to najlepsi
nawet zdobyli się na łzy, a wszyscy byli ciekawi czy też Witos
jeszcze z Tarnowa powróci. Stamtąd się bowiem rzadko powracało.
Nikt się nie ośmielił w mojej obronie wystąpić. Mają słu-
sznie ci co mówią że Wierzchosławice dały podstawę do mo-
jego wywyższenia, ale pytam dlaczego żaden inny nie po-
szedł moimi śladami. Dlaczego żaden nie porwał się do lotu
mając tyle przykładów, pobudek, zachęty. Wszak w Wierzcho-
sławicach miała siedzibę polityka ludowa, a nieraz i państwo-
wa, wszak przez Wierzchosławice przewalały się niezliczone zastę-
py ludzkie. A przecież nikomu z nich nic nie dałem. Oni
zaś dużo ze siebie dali narażając się na zamęty i ponosząc trudy.
Zresztą czy to jako radny powiatowy, czy prezes Małopolskiego
Towarzystwa Rolniczego, czy jako poseł sejmowy, parlamentarny, prezes
wielkiego stronnictwa, lub Prezydent Rady Ministrów, nie mo-
głem myśleć tylko o interesach jednej wsi, ale powinienem
stać na gruncie całości i to robiłem. W sumieniu swoim je-
stem też zupełnie spokojny. Czasu ani zdrowia nie żałowałem,
Kto chce i może niech rzuci na mnie kamieniem.
W końcu zaznaczam. Formalnie obowiązki wójta gminy
Wierzchosławice sprawowałem przez cztery kadencje bez przerwy,
faktycznie trwało to znacznie mniej, gdyż wyższe obowiązki na
to nie pozwalały. Z moich zastępców najlepiej się nadawał Jan
Rzeźnik. Rozumny, odważny, szczery. Wielka szkoda że zawcześnie
umarł. Obowiązkowego Józefa Boryczkę łakomstwo na złe drogi pomogło.
Do wybitniejszych radnych młodszych należeli: Boryczka Wojciech, Jan
Bak, Podlasek Tomasz, Solak Antoni, Paweł Niedojadło, Jędrzej Bryl,
Paweł Kędzior, Adam Mamcarz, Sylwester Ogar. Ignacy Wnołek.
Wytrwałym nad wyraz pracownikiem okazał się Jan Rzymek.
Obowiązki sekretarza Jan Gdowski przez długi czas sprawował.
Wójtowanie moje nie umarło. Rządy sanacyjne, aby się mnie po-
zbyć chwyciły się różnych sztuk i gwałtów, a w końcu rozwiązały Radę gmin-
ną bez podania powodów.

Dwór i las.

Dwór wierzchosławicki wchodzący w skład wielkiego klucza gumniskiego zbyt rozległym nie był. Ponadto znaczną część gruntów zwanych Borowiciami od dawna dzierżawiono chłopom. Obszar dworski jak zresztą wszystkie inne, stanowił odrębną jednostkę polityczno-administracyjną, usuwając się od wszelkich świadczeń o charakterze społecznym i publicznym. Stałych pracowników dwór zatrudniał nie wielu, więcej robotników periodycznie przyjmowano, pracy intensywnej się domagano i licho płacono. Korzyści dla wsi były minimalne. Ktoś tam od czasu do czasu do roboty wyszedł, lub wyjechał, ugór lub ściernisko na paszę wydzierżawił. Furę słomy lub plew kupił. Od karbowników zależało, ile w tych plewach ziarna się znalazło. Oczywiście wtenczas, kiedy kupujący poznał się na tym. Ktoś tam ukradł snopek żyta, lub pszenicy, urwał trawy, lub koniczyny. Konia wypuścił, trawę podeptał, kłosów natargał, garniec ziemniaków ukopał, ale to były drobiazgi i dotyczyły bliższych sąsiadów.

Dwór, to dzierżawiono, to znów prowadzono we własnym zarządzie. Tu się Sanguszkom nie wiodło. Do własnego zarządu musieli dopłacać, dzierżawcy przeważnie odchodzili z torbami. W związku z deficytami rządca Glizelli się zastrzelił, wywołując przykrą sensację na całą okolicę. Pochowano go w miejscu dla samobójców przeznaczonym. Z dzierżawców tylko Berlik dorobił się grosza na dzierżawie, choć nie był zawodowym rolnikiem. Wszędzie się zdarzają paradoksy. Rebelia w roku 1846 szalejąca dwór ominęła. Rządca się ukrył na wsi u chłopa Fornala, obcych rebeliantów od bram dworu odpędzono.

Obszerne lasy sanguszkowskie stały nieuporządkowane, ale zachowane. Jakiemi je Bóg stworzył, takiemi zostały. Sosnowe i dębowe wiekowe olbrzymy w górze majestatycznie szumiały, dołem młodniki i liczne krzewy tworzyły gęstwinę mieszaną. Las tworzył puszczę nie tkniętą żadnemi liniami, ani rowami. Drogi zastępywały dróżyska kręto się wijące pomiędzy drzewami. Jedyną drogą był szlak krakowski, podobno dawniej gęsto przez kupców uczęszczany. Duże połacie lasu zalewały wody tworząc bagniska niewysychające nigdy. Z grubszej zwierzyny pokazywały się wilki i jelenie. Dziki i sarny były stałemi mieszkańcami. Lisów, zajęcy, wiewiórek, kun, borsuków ilości nieprzeliczone. Oprócz drobnego ptactwa masowo się gnieździły bażanty, puchacze, różnych gatunków jastrzębie. Trafiały się orły. Las był żywy, poruszający się, krzykami i różnemi tonami głosami rozśpiewany. Grzybów, borówek, poziomek, orzechów, ostrężyn, żurawin bogactwo,

jeżyny, koguciów i innych jagód, nie można było ani przedrzeć się ani przejść. Las rósł, grzał i żywił. Nikomu wstrętów nie robił. Dzięki wodom rzeczki Kiszeliny i namułowi przez te wody niesionemu trawy wzrostem swoim wysokiego chłopa przerastały.

Stary Sanguszko z gromadą magnatów i urzędników przyjeżdżał raz do roku na polowanie i lasem mało się zajmował. Rządził nim szlachcic herbowy nadleśniczy Łasowski. Nie wiem już, którymi się kierował pobudkami czy nakazami, ale oczy na wszystko zamykał. Chłopi chodzili po lesie jak po swoim ogrodzie, zdatniejsze drzewka wycinali, materjał potrzebny przygotowywali, suche gałęzie i krzaczki zabierali, mokre szczapy wyrąbywali, grzyby zbierali, jagody rwali, ptaki z gniazd wybierali, trawy kosili, bydło i konie podganiali.

Po zabraniu im łąk i praw serwitutowych chłopi żadnych uprawnień w lesie Sanguszków nie mieli, choć z lasem się zrośli i bez niego obejść się nie mogli. Za roboty płacono im gotówką, lub kwitkami z grubego papieru przez zarząd lasu wystawionemi. Chłopi za trawy na łąkach płacili gotówką, kwitkami zaś za siano wyrębowe sierpami żynane, na plecach w płachcie poza kultury leśne wynoszone.

Za wykarczowanie drzew starych na wycięcie przeznaczonych (na podstawie między nie zawieranej umowy) pozwolono na kłoce mu-łopatowe, lub na sążni chłopi dostawali: pniaki, gałęzie, konarzy i „wierzchowisko" na 8 cali przy starszym końcu grube. Oprócz tego jeśli pora umowa dała się coś tam do konarów urobić, lub jaki kloc na dno półkoszka wsadzić. Do lasu się nie chodziło z różańcem lecz z siekierą. Jak przy rżnięciu traw groziło ukaranie leśnych ciężkie, tak przy karczowaniu drzewa groziło się niebezpieczeństwo przygniecenia walącemi się splątanemi kłodami, lub uderzenia oderwanym konarem. Padające kłody robiły huk do grzmotu i to ciężkiego grzmotu podobny. Nie było roku w którymby ktoś nie padł ofiarą. Czasem paru ludzi.

Po śmierci Łasowskiego miejsce nadleśniczego zajął Franciszek Bauer leśnik wykształcony, Czech z pochodzenia. Przygotował on plan uporządkowania gospodarki leśnej i zaczął go w całości bez względności wykonywać. Drogi i ścieżki do lasu pozamykał, cały las opasał głębokiemi rowami, bez zezwolenia chodzić po lesie zabronił, karami dotkliwemi ludzi obsypywał. Bez uiszczenia wyznaczonej zapłaty za zbierania borówek, poziomek i wszelkich jagód nie pozwalał. Na opornych rzucił sforę leśnych, praktykantów i pisarzy, która się nad ubogą ludnością niemiłosiernie znęcała, uzbierane jagody zabierała, garnczki tłukła, kosze nakładała, kobiety i dzieci bito i kopano. Nadleśniczy nie tylko zachęcał do tych wyczynów barbarzyńskich, ale sam bardzo często brał w nich udział.

Długości pniaków o połowę skrócić, grubości czworokątów o 2 cale obniżyć, grubsze gałęzie na sągi rznąć kazać, kontrolę na wsi co trochę z żandarmami przeprowadzać, karami sypać, tak zwariowanych uciekających z lasu wyganiać i wstępu im zabronić. Leśniczych i leśników po ludzku postępujących usunąć i innymi ich zastąpić. Ludzi przy każdej sposobności łajać, przeklinać, znieważać. Dzieci zajęte w szkółce drzew bić po twarzy. Kopać, za uszy targać. Las liniami poprzecinać, rowy kopać, odwadnianie na wielką skalę prowadzić. Gęstwiny leśne nie miłosiernie przecinać. Jedno miał dobre, zarobek dawać, rzetelnie płacić, na lepszych i gorszych nie dzielić. Tego jednak nikt pod uwagę nie brał, a nawet brać nie mógł. Ludność pod temi uderzeniami jakby skamieniała, a dając następnie folgę bezbrzeżnej rozpaczy i żalowi, nie znajdując nigdzie żadnej pomocy ucichła, spełniając opornie, ale i pokornie wszystkie nowe, leśne ciężkie przykazania. Nie przeczuwała że czekają ją ciosy, nowe nie mniej, a może bardziej dotkliwe. Kiedy p. Pawer zaczął biegać po Łakmiskach z instrumentami mierniczemi rozeszły się niepokojące pogłoski że ta połać łąk, kilkadziesiąt morgów mierząca, zostanie na stawy rybne zamieniona. Pogłoski rychło się sprawdziły. Nowa rozpacz, lamenty i zawodzenie. "Zabrali nam łąki, zabrali nam teraz siano, człowiek nie uchowa bydlęcia. Chyba się w tych stawach utopić trzeba!" Do roboty Wierzchosławianie nie poszli; obcy ich wyręczyli. Kopano rowy dopływowe i odpływowe, sypano wały. Wierzchosławianie biegali, płakali, sejmowali, radzili, a widząc że nic nie poradzą, do roboty poszli. Praca wyjątkowa, zarobki mizerne. Wszystko hurtem, od kubika ziemi. Tyle miał każdy, ile sobie wyrobił. W tej robocie na wyścigi wielu się ciężko pochorowało. Wierzchosławianie wychodzili najgorzej, jako z robotami ziemnemi wcale nie obyci. Inni to sprawniej robili i znacznie więcej zarabiali. Po kilku miesiącach ~~staw~~ roboty ukończono, mrowie ludzkie odeszło, staw wodą zalano, ryb drobnych napuszczono. Z łąkami się skończyło. Mało tego. Woda spiętrzona w niedaleko położonym stawie, na grunta chłopskie jak najgorzej oddziaływała. Trzeba się było wyrzec uprawy, lub na darmo przeorywać, nawozić, zasiewać. Żyzne podleśne grunta stały się nieużytkami. Od lat dziesiątek nikt się tam z pługiem pokazać nie waży.

Staw na Łakmiskach był jakby na próbę. Kiedy ta próba udała robota poszła dalej. Nowy staw założony na łąkach błotnickich jest od Łakmisk ~~pi~~ obszarem co najmniej dwukrotnie większy. Na dalsze stawy na Mazurzce, Wróbliku, Śledziowskich zabrano wszystkie łąki największe i najlepsze przytem, że sianem w lesie niemal też się skończyło. Pozostałe łąki podzielono pomiędzy dwór, nadleśnictwo,

leśniczych i leśnych, małe ogródki do sprzedaży przypadły. Wskutek nadmiernego odwodnienia rosła na nich szczecina, jałowa, trudna do skoszenia. Nie mając innego wyjścia ludzie kupowali i musieli na wagę złota przepłacali. Przemyślny nadleśniczy zrobił doskonały interes. Ryby się opłacały, wszystkie łąki dawały więcej niż dawniej wszystkie rozległe obszary. Chłopi polamentowali chwilę ogromnie; ze sianem poszli do dworów okolicznych i nawet na tej zmianie dobrze wychodzili: lepsza karma, lepszy nawóz i lepsze zbiory.

Zmieniając co trochę formy i sposoby wynagrodzenia chłopów za karczowanie drzewa i inne roboty leśne nadleśniczy nie spoczął aż ~~chłopów~~ ich prawie zupełnie z lasu wyrugował. Wszelkie wynagrodzenie w naturze odpadło, pieniądz stał się regulatorem stosunków. Wierzchosławianie stracili swoje nieco uprzywilejowane stanowisko, las został dla wszelkiej "Okrainy" otwarty. Do pogorszenia położenia przyczynili się chłopi z okolic Szczurowej, Borzęcina, którzy każdą cenę płacili. Do solidarnego wystąpienia byli bardzo trudni; Nadleśniczy wiedząc o antagonizmie starał się judzić jednych na drugich. Przez kilka lat pewne ustępstwa na rzecz chłopów uzyskałem, potem jednak ze względów politycznych tego zaniechałem. Chłopi zaś kilka razy zdobyli się na odruchy, ale stale nie umieli się bronić.

W czasie przewrotu w latach 1918 i 1919 nienawiść wsi zwróciła się przeciw p. Pawerowi. Podobno nawet jego mieszkanie ostrzeliwano; Mylnem było twierdzenie niektórych polityków jakobym te wystąpienia tolerował, a nawet przygotowywał. Owszem. Starałem się wszelkimi sposobami do gwałtów nie dopuścić i porządek utrzymałem. Wstrzymałem też zapędy tych nie licznych chłopów, którzy uznali że akurat była to pora by sobie wszystkie straty i krzywdy powetować. Chłopi byli co prawda dość małostkowi, ale i Sanguszkowie żadnej wielkoduszności nie okazali. Przyszedł niestety czas w którym za wspólne błędy odebrali przykrą zapłatę i jedni i drudzy.

Las sanguszkowski w Wierzchosławicach nadal istnieje, ale to las zupełnie inny. Stare drzewa olbrzymy które się zwycięsko oparły huraganom burz i wiatrów, których nie mogły zdruzgotać pioruny, zostały przez Żydów pokonane. Okaleczone, pocięte, skawałkowane, na zachód kolejami wyjechały. Żydzi i młody Sanguszko dali średniakom radę wspólnemi siłami. Porosłały młodniki i szerokie, golizną świecące wyręby. Ptactwo się także rozproszyło. Rzadko się odezwie dziki gołąb, tej gospodarki wypłoszony. Dzięcioł się nie ubawi terkotaniem w sęki, bo tylko młode, gibkie gałęzie porosły. Utrzymały się dziki, sarny, zające, jelenie, stając się utrapieniem chłopów mających grunta bliżej lasu położone. Ostatnio nie widząc żadnej granicy dla siebie, idą wszędzie gdzie jest co do zjedzenia. I zjadają!

Las przez swoich mieszkańców wyrządził wiele ludziom szkody. Jego włodzy krzywdę, a jednak ci ludzie mają do lasu specjalny sentyment. I nie bez powodu. Zawsze z nim jest lepiej, a koło niego cieplej. Chce się odmłodzić i dziadkiem być przestać.

Pragnę przyznać lojalnie, że w ostatnich latach życia nieugięty i nieużyty p. Pauer gruntownie się zmienił, podobno pod wpływem żony bardzo ~~wam~~ zacnej kobiety. Stał się wyrozumiały, przystępny, ludzki. Udzielał rad i pomocy przychodził. Próżniaków zawsze nienawidził. Liczną gromadkę dzieci po polsku wychował.

Za obowiązek uważam zaznaczyć, że życzliwie odnosili się do ludności leśniczowie: Sławiński i Mierecki, leśni Borynka, Placek, Benedykt Bryl, Kuśka Jakób i Jakób Holda, z praktykantów zaś: Gostwicki, Kilian, Wójcik i kilka innych. Co mogli to robili.

Karczmy

Ze siedmiu karczem pozostało cztery. Wszystkie one należały do Sanguszków i wszystkie były przez Żydów dzierżawione. Tak zaś rozmieszczone aby mogły ludność "dobrze obsługiwać." Przemyślni Żydkowie oprócz trunków, tytoniu i tabaki utrzymywali małe sklepiki, w których się ludność w najpotrzebniejsze rzeczy mogła zaopatrzyć. Sprzedawali za gotówkę, chętnie dawali na "borg" prowadzili handel wymienny. Domyślając się co komu potrzeba często do domu zanosili. Nie byli natrętni, na zapłatę nie nalegali, niekiedy zaś borgi czekali aż chłop zapomniał ile się tego nazbierało i na żydowski rachunek nieboracy się godził. W braku gotówki do Żyda wędrowała gęś, dawano coś ze zboża, nabiału, a nie rzadko cielę. Niektórzy chwytali się ostateczności pola chodzili i jeździli na odrobek. I tu Żyd liczył jak mu się podobało, bo chłopi zwykle mieli krótką pamięć. Trochę kłótni, wyzywania, nowy kieliszek wódki zakąska ze śledzia i rzecz załatwiona. Żyd miał wszystko na papierze, chłop się zaś tylko "pyskiem ograniał." Nawet w tarczas jak szło na uparte. A to się nie często zdarzało.

Żyd umiał karczmę zainteresować, co tylko się dało w niej i koło niej zcześrodkować. W karczmie odbywała się niemal co święto i niedziele muzyka, o karczmę zawadzali znachorzy, wróże, komedjanci, cyganie, w karczmie wypłacali chłopom Żydzi za kloce i sągi do Gumnisk i do Kolei ~~wożone~~, w karczmie można było spieniężyć "kozę" ukradzioną, wyłgę schwytaną, skórkę z zająca, wydry, królika, czasem sarny i innego zwierza. Żyd wszystko przyjął, zapłacił, lub przechował, parę z ust nie puścił. Słowem karczma była dla wsi przystanią i przytuliskiem jedynem, i niezdrowym, karczmarz patronem niezastąpionym. Chłopi na pozór odnosili się do niego z pewnem lekceważeniem, czasem go nawet poszturchali, ale się bez niego na długo obyć nie mogli. Do

Karczmy przed jarmarkiem i do Karczmy po nim, Karczmy rzadko omijały chrzciny i wesela, w Karczmie zawierano wszelkie [illegible] umowy, dokonywano sprzedaży, pito litkupy, kłócono się i przepraszano. Zawsze przy wódce i prawie zawsze przy karczmarzu.

Chłopi wierzchosławiccy nie byli pijakami. Do Karczmy przychodzili jedni z przyzwyczajenia, inni paczkę tytoniu kupić, fajkę pokurzyć, czasem kieliszek wódki wypić z sąsiadami pogadać i coś się dowiedzieć. W dnie świąteczne bywały Karczmy po brzegi wypełnione. Szła młodzież na muzykę i tańce, starsi się przypatrywać. Kobiety z dziećmi przychodziły wyglądywać żeby wyprzeczeni, materiał do obmów i plotek gromadzić. Andrzejka niejeden jakby w jakimś szale nie tylko tańczył całą noc, ale i białego dnia zaczynał. Do swego punktu szczytowego dochodziło szaleństwo w ostatnie dnie zapustów. Wielu zapaleńców przez całe trzy dni nie opuściło Karczmy, kazali sobie nawet jedzenie przynosić. Nie wiele się zmieniło kiedy w dnie to Kościół uroczyste nabożeństwo wprowadził. Jedni szli do kościoła, innych nie można było niczem od Karczmy oderwać. W Kościele rozbrzmiewały tony pieśni błagalnych, w niedalekiej karczmie głośne hołubce wybijano. Tu gorzkie żale, tam skoczne krakowiaki.

Nieraz sobie przypominam zdanie posła sejmowego A. kr. B. wypowiedziane we Lwowie w roku 1908 na wiecu antyalkoholowym. Brzmiało ono dosłownie: „Chłopom potrzebna, a nawet niezbędna jest Karczma tak długo, dopóki się inna instytucja nie założy". Byłem tem określeniem zdumiony i zgorszony....

Prawdą jest że niektórzy chłopi bez Karczmy obyć się nie mogli, ale i to prawda że Karczma była początkiem i źródłem wszelkiego zła i zbrodni. Wszystko się tam legło, rosło dojrzewało. Tam tracono majątek, tam niszczono zdrowie. O ile pamiętam z naszych chłopów trzech utopiło gospodarstwa w kieliszku, kilka zaś mocno nadszarpało. Do rąk żydowskich bardzo mało wpadło.

Pijatyce i zabawom prawie zawsze towarzyszyły bitki i awantury. Pomiędzy podpitemi i rozgniewanemi nie było o nie trudno. Nie przedstawiały się one zbyt groźnie. Jeden drugiego pięścią wygrzmocił po gębie, nie używając żadnych narzędzi, rzadko się kijem posługiwano. Nieraz ni stąd ni zowąd zdarzała się bitka ogólna. Walili się wszyscy ze wszystkiemi, nie wiedząc dla czego to robią. Koniec jej robili zwykle przysiężni okładając za porządkiem grubemi lagami.

We wsi było kilku takich co od Karczmy do Karczmy za bitkami usilnie chodzili. Ponieważ nikt się nie śmiał przeciwstawić, używali sobie ile tylko zechcieli. Lech Maciej i Wojciech Molczyk się pomiędzy nimi wodzili. Skończyło się gdy Lech

71. pojechał do Ameryki, a Mołzyka ulani austriaccy w Tarnowie w stawie utopili. Nie prędko zastąpili ich drudzy.

Niéraz suszyli sobie ludzie głowy, jak we wsi ubogiej może tyle rodzin żydowskich wyżyć, dzieci okryć i wychować, nauczycieli opłacać i jeszcze majątek robić. Wszak potomek jednego z Karczmarzy opisywanych w Wierzchosławicach majątki Fisch jest właścicielem dworu "Karcz" w powiecie dąbrowskim i pilźnieńskim, w niektórych kołach mocno ustosunkowanym. Nie zrobię nikomu krzywdy, gdy zaznaczę, że tenże Fisch zwrócił do mnie jako pełnomocnik naówczas senatora Jakóba Bojki w intymnych sprawach politycznych.

Nie wiem jakiemi kierował się pobudkami zarząd dóbr sanguszkowskich ale za jednym zamachem trzy karczmy skasował, czwartą zaś i ostatnią katolikowi wydzierżawił. Dzierżawcą był Walenty Pabjan, pochodzący z Biadolin radłowskich wsi powiatu brzeskiego. Nowy dzierżawca człowiek trzeźwy, rozumny przedsiębiorczy urządził się jak tylko można było najlepiej. Czystość, porządek, szynk i sklep obficie zaopatrzone, cenniki, obsługa fachowa i rzetelna, sprowadziły do Pabjana całą okolicę, a nawet licznych gości z Tarnowa. Chłopi miejscowi zpoczątku bokiem patrzeli na "pańskie porządki", gdzie trzeba przy wejściu buty z błota wycierać, ale nie mając wyjścia innego zaczęli po jednemu zaglądać, aż i wszyscy weszli. Czasy były dość dobre, ludzie pieniądze mieli, dary Boże spożywali i chętnie płacili.

Pabjan szynkował, każdego widział i każdemu dogadzał, [illegible] płynące dochody zbierał, wszelkie próby awantur w zarodku dusił. Widocznem było, że majątek robił, ale się na włos nawet nie zmienił. Przedsiębiorstwo ulepszał, ludziom ~~[illegible]~~ pomagał. Stanowił [illegible] unikat rzadko u nas spotykany. Ludzie choć mu tam nie zazdrościli, z wielkim szacunkiem do niego się odnosili. Nieszczęście jednak po ludziach chodzi. Pabjan zachorował i umarł.

Kwitnące i we wszystko zaopatrzone obficie przedsiębiorstwo objęła żona śp. Pabjana, Wiktorya, wraz ze swym bratem Wincentym Sławinem. Odrazu jakby ręką odjął. Skończył się spokój, zniknęła powaga, zaczęła się hulatyka, pijaństwo, rozpusta. Młoda wdowa trzymana w rękach przez męża chciała się wyszumieć. Pieniądze były, przyjaciół nie brakło. Brat kelner w szynku siedział, niepodzielnie rządził kieszenią napychał, a ludzi ~~poprzewał~~ poniewierał, awantury prowokował. Okoliczna i wiejska elita z wójtem i Głowackim na czele piła codziennie w osobnym pokoju. Tłum krzyczący, śpiewający, pijany, wypełniał obszerną izbę karczemną, wysypywał się na ganki, tłoczył się w altanie.

Szaleństwo doszło do punktu kulminacyjnego. Przejście i prze-
jazd przez Wierzchosławice stał się niemożliwy. Krwawe, zacięte bójki do-
prowadziły do zabójstw i morderstw. Żandarmi, aresztowania, świad-
kowie, rozprawy, sądy, kryminały. Wierzchosławice zyskały wielki,
smutny rozgłos. Przekleństwa, płacze, lamenty [całe] pojawiły się, rozlegały.
Obstrzasające wrażenie wywołał następujący wypadek: Żona zabitego
Boryczki przyniosła do leżącego trupa obraz Matki Boskiej Częstochow-
skiej, prosząc ją, by mężowi życie przywróciła. Prośbę swoją rozpaczliwie
głośno powtarzała kilka razy, ale niestety nie uzyskała.

Ks. proboszcz wstrząśnięty do głębi zaszłymi wypadkami prowadził z am-
bony gwałtowną kampanię przeciw wódce i pijaństwu, nie dotykając źró-
dła złego ani jednem słowem. Sanguszko wciąż był kolatorem, a kar-
czma pod Borem jego własnością. Mogłyby to również wyjaśniających w
niej różnych okoliczności dopomóc w razie. Ani tryby postępowania
mimo wszystko nie zmienili wychodząc widocznie z założenia ze:
„dobrego karczma nie zepsuje, złego kościół nie naprawi.” A jed-
nak Ks. Franczak chciał przez Kościół tej naprawy dokonać. Nie-
cierpliwie już własnej siły sprowadził kilku misjonarzy. Misje trwa-
ły cały tydzień. Zjechali się okoliczni [Księża]. Ludności gotowano piekło na
sąd ostateczny. OO Misjonarze w gorących i gwałtownych przemówie-
niach przedstawiali grozę piekła i potworne męczarnie, które dla
wszystkich grzeszników, a szczególnie pijaków będą trwać wieki całe. Ob-
cy Ks. dniem i nocą spowiadali. Misje trwały przez cały tydzień. Wy-
mowa niektórych Księży Misjonarzy mogła poruszyć najtwardsze głazy,
jakżeby miała nie poruszyć [ludzi]. Szereg kobiet tak się przejęło, że jeszcze w
Kościele zaczęły się u nich pojawiać oznaki obłąkania. Misje zakoń-
czyły się generalnym ślubowaniem od wszelkich trunków rozpalają-
cych. Oprócz nas kilku mężczyzn cała parafia złożyła uroczyste przy-
sięgę wstrzemięźliwości. Redemptoryści ten chwalebny fakt wyzyskali i szere-
reg politycznych kazań wygłosili. We wsi dobrze wiedziano o kogo cho-
dziło, mimo to kazania bez wrażenia nie przeszły.

Ks. proboszcz cel zamierzony osiągnął. Z ludzi ~~wracających~~ powracają-
cych z Kościoła nikt do karczmy nie wstąpił. Tak było przez kilka tygo-
dni. Potem zaczęli się skradać po jednemu, niby to po tytoń. Wreszcie ten
wstyd porzucili. Niektórzy pili więcej niż dawniej, aby sobie straty powetować.
wać, Inni nieco na śluby słożone pamiętali. Pobyjanka z drugim mę-
żem Wolskim karczmę opuściła. Sanguszkowie wydzierżawili ją Żydom.
Po moich usilnych staraniach konnesję sprzedaży dostało kółko rol-
nicze. Nie miało z niej wielkiego pożytku. Prowadziło ją we własnym
zarządzie, podejrzewano, że się jej na końcu zrzekło dobrowolnie.
W domu po karczemnym umieszczono żandarmów, a potem polską policję.

73. Koncesję starostwo dało Boryczce, jako wynagrodzenie za poli-
tyczne wysługi. I znowu jak dawniej, syn Boryczki tuż nie daleko
od Kościoła szynkuje. Proboszcza milczy zawsze niewiadomo dlaczego.

Kółko rolnicze.

Data założenia Kółka rolniczego w Wierzchosławicach, a przy
niem sklepiku i czytelni jest dosyć odległa. Historja jego ostatnimi
jest krótka i nieskomplikowana. Założyciele i opiekunowie towa-
ry ze sklepu rozebrali, trunki wypili. Książki z czytelni na wie-
czne nieoddanie rozpożyczali. Bliższych szczegółów podać nie
można ponieważ wszelkie papiery i książki zaginęły.

Po kilkuletniej przerwie przybył do Wierzchosławic znany dzia-
łacz Ks. Aleksander Siemieński z Szynwałdu aby grunt wybadać.
Ks. proboszcz Framczak przygotował dla niego nie duże zebranie.
Po zebraniu zwrócił się Ks. Siemieński do mnie z zapytaniem, czybym
się zreorganizowania Kółka nie podjął. Zgodziłem się. Z wielkim tru-
dem udało mi się zebrać kilkudziesięciu członków. Wybrano mię
przewodniczącym. Obowiązki te spełniam po dziś. Od dłuższego
czasu tylko formalnie. Szczęście nam sprzyjało. Założyliśmy sklepik,
zbudowaliśmy własny dom. Zorganizował straż pożarną, zbudowali
szopę, zakupiliśmy sikawkę i wszelkie potrzebne przybory. Sprowadziliśmy
wagę bydlęcą, dwa tryjery, kilka siewników rzędowych. Zniszczony
dom Kółka w czasie wojny światowej odbudowaliśmy na nowo.

Wszystko szło jak najlepiej. Strona rolnicza była uwzględniona i po-
pierana, obroty handlowe jak na wieś były nadzwyczajne. Zyski
dość poważne. Byłem w stanie przez kilka lat wypłacać od u-
działów dywidendę. Kółko się spotykało z powszechnem uznaniem.
Niestety przez całe długie lata nie było jednego skarbnika coby się
wyliczył, jednego prawie sklepikarza któryby Kółka na grube sumy
nie zarwał. Postarałem się o wybór Ks. proboszcza skarbnikiem. Prowa-
dził te obowiązki przez kilka lat i nie wyliczył się jak inni. Daliśmy
mu do zrozumienia że dopłacić trzeba. Zrezygnował, ale nic nie za-
płacił. Na tysiące zarwali sklep Kółka dłużnicy niesumienni. Po
sądu nie chciałem podawać nauczony dziś nieprzyjemnem doświad-
czeniem. Zmiany personalu, kaucje, rygory nie wiele pomogły.

Nie mogąc sobie dać rady z tem własnem zarządem wydzierża-
wiłem sklep i wyszynk dwom bliskim sąsiadom. Byli oni ludźmi
bez zarzutu, ale niestety znowu płacić nie chcieli, usiłując mnie
przekonać że żadnych dochodów nie mieli. Skończyło się na ziemu.
Wróciliśmy do własnego zarządu, płacąc podatki za dzierżawców nie-
lojalnych. Nie obeszło się przytem bez zgrzytów i żalów. No i dużych

78

74. strat przytem. Dzierżawcami byli: Ignacy Wrzołek i Franciszek Śmiech. Nie mogłem sobie nigdy wytłumaczyć następującego zdarzenia: Piwnica sklepu została okradziona. Strata była bardzo poważna. Stwierdziłem osobiście że zamki piwnicy zostały nienaruszone, a klucze od nich znajdowały się wtedy u kierownika sklepu pufu Boryczki. Przecież jego o kradzież posądzić nie mogłem. Więc kto to zrobił? Tego zagadnienia nie zdołaliśmy nigdy rozwiązać!

Sklepikarzami którym nic nie brakło była "Kasia M." z Zaborowia Bak Michał z Bogumiłowic, Józef Kosiaty z Wierzchosławic. Kustra Stanisław z Wierzchosławic także możliwie się zachował. Z przyjemnością uznaczam, że przy budowie domu Kółka gospodarczego miejscowi znaczną część robót bezpłatnie wykonali. Szczególną pilnością odznaczyli się między innemi: Pudło Wincenty, Jan Bak, Bodziach Franciszek, Jan Rzymek, Józef Boryczko, Paweł Niedojadło, Józef Malarz, Karol Mrzygłód, Jan Oger, Buchacz Michał, Jan Dorkiewicz, Wawrzyniec Sołek, Jan Woźniak, Wojciech Skorka, Józef Bryl. Nieraz się pytam sam siebie, dlaczego w tę malutką instytucję tyle trudów i pracy włożyłem, dlaczego całemi nocami ślęczałem, myślałem, kombinowałem, dopłacałem, dlaczego się tylu ludziom nieopatrznym, nieuczciwym i lekkomyślnym narażałem. Dlaczego cudze winy i błędy pokrywałem? No ale przepadło! Za krótkie jest życie ludzkie na to: aby wszechstronnego doświadczenia nabyć. Żyje się nie tylko dla siebie!

Dom Ludowy.

Dom Ludowy w Wierzchosławicach został zbudowany według planu sporządzonego przez inżyniera Henryka Dudka z Krakowa b. wice-ministra Robót Publicznych. Za swoją pracę żadnej on zapłaty nie przyjął, w robocie pomagał. Parter domu postawiony z cegły, piętro z materjału drewnianego. Parter dzieli się na dużą salę zebrań i dwa pokoje w drugiej części położone. Na piętrze jest pokój dla mnie przeznaczony, Kancelarja gminna i kilka mniejszych ubikacji na prywatne mieszkania. Dom Ludowy jest własnością gminy, mimo że ona się najmniej do budowy przyczyniła. Domem zarządzał Komitet przez Radę gminną wybrany. Komitetowi je przewodniczyłem. Znaczna część ludności patrzyła na Dom Ludowy krzywem, uważając go za miejsce demoralizacji. Bez żadnych podstaw. Trwało to parę miesięcy tylko. Potem wszystko się zmieniło. O kosztach budowy już wcześniej mówiłem. Aby się zabezpieczyć przed zakusami sanacji które sobie na Dom zęby ostrzyła Rada gminna wydzierżawiła go Zarządowi Kółka sądząc że Kółko przetrwa sanacyjne rządy. Tak się stało. Kółko żyje do dziś dnia, ale go i nas z Domu Ludowego wyrzucono. Ostatnie posiedzenie Rady gmin-

nej pod moim przewodnictwem odbyło się dla wniesienia rekursu przeciw nieprawnemu rozwiązaniu Rady. Rekurs odrzucono.

W domu Ludowym znalazły przytułek: szkoła, nauczycielka, czytelnia, straż pożarna, Kasa Stefczyka do dziś dnia. Dom Ludowy i grunt do niego przylegający były niejednokrotnie widownią wspaniałych manifestacji narodowych i politycznych, jak i burzliwych zgromadzeń partyjnych. Zjeżdżały tu takie tuze jak Mościcki; Polakiewicz, Bojko. Próbowali Wierzchosławice zdobyć, a mnie na zawsze pognębić. Ludzie byli uparci: Od tłumnie zebranej policji oberwali co wlazło, ale przy swoim zostali. A mnie też nic wiele zrobiono.

Na Domu Ludowym widnieje tablica z napisem Dom Ludowy imienia Wincentego Witosa, sprawiona kosztem dr. Jana Kmiołkiego. Dziw że jej dotąd nie strącono. Przecież musiała drażnić prawowiernych!

Kasa Stefczyka.

Kasę Stefczyka założyłem przed wojną światową, kierując nią jako przełożony zarządu. Mieściła się dłuższy czas w moim domu, rozwijając się w sposób niesłychany. W czasie zbliżania się Moskali w roku 1914 jesienią zakopaliśmy wszystko co do niej należało na moim polu. Kasa ogniotrwała zachowała się w całości, ale gotówka gdzieś się ulotniła. Dewaluacja pieniądza zniszczyła wszystko cośmy przez lata zdobyli, pozbawiając setki osób ich krwawo zapracowanych oszczędności. Rozgoryczenie zwracało się i przeciw mnie. Spotkać się można było ze zdaniem: „Prawda, dewaluacja jest ogólna, ale gdyby Witos był chciał toby do niej u nas nie dopuścił." Cóż było z naiwnością robić.

Po kilku latach zabrałem się do założenia Kasy na nowo. Szło ciężko, ludzie nie ufali. Kasa wegetowała, dłużnicy płacić nie chcieli. Obecnie jest znacznie lepiej. To że instytucja ta zachowała się zawdzięczać należy Antoniemu Solakowi, który swoją pracowitością i uporem przez najgorsze czasy ją podtrzymał i przeprowadził. Teraz mu lżej.

Straż ogniowa.

Różne perypetie przechodziła ochotnicza straż ogniowa, przy kółku rolniczem założona. Chłopcom się więcej podobał mundur, niż praca i ćwiczenia. Najlepiej się przedstawiała za czasów Feliksa Kuklewicza. Komendant się udał, członkowie dopisali. Działalność długoletniego Komendanta Franciszka Żmudy, jest więcej na blichtr obliczona, chociaż straż jest za jedną z najlepszych w powiecie uważana. Sanatory tarnowscy nie mogąc jej zdobyć postanowili zniszczyć. Założyli straż konkurencyjną, wszelkich uprawnień pozbawili, a w końcu rozwiązali. Zakończyło się fuzją obu straży. Kierownictwo Żmudzie powierzono. Sanacja się skończyła, straż jeszcze istnieje i jak może swoje zadanie wypełnia. Zawsze powstaje pytanie. Po co oni to wszystko robili; Czy sanatory rozumu pozbawieni?

Żandarmi i wojsko.

Żandarmi przychodzący do wsi z Tarnowa, zjawiali się niespodzianie i niespodziewanie odchodzili. Przespali się w przysiółkach i po wsi krążyli. Nie tylko byli postrachem dla wszystkich przestępców, ale na ogół [illegible] się [illegible] cieszyli. Trzymali się ściśle ustaw, w sprawy polityczne się nie wdawali. Złodziei i awanturników niemiłosiernie tępili. Byli bezstronni. Łapówki rzadko brali. Kapelusze z piórami lśniącemi czyniły ich trochę egzotycznemi.

Chłopi szli do wojska na ogół chętnie choć z pewną bojaźnią. Była to służba uwielbianemu cesarzowi, za niego gotowi byli i zginąć jeśli będzie potrzeba. Wielu ciągnął mundur, honor i spodziewane korzyści. Z wojska przecież można było iść na żandarma, na kolej, lub na pocztę się dostać. Jeśli trafiło się kalectwo, albo nie daj Boże śmierć, to rodzina dostanie zapomogę. Służyli długo, w krajach niemieckich przebywali. Po powrocie nieprawdopodobne rzeczy bajdurzyli. Dziwne że i tamtejszej kultury i postępu nic sobie nie przyswoili. We wsi od niesłużących przy wojsku większe poważanie u nich. Niektóry przez kilka lat język kaleczyli, że jakiś czas [illegible] gadali. Medale wysłużone z wielką czcią przechowywali, niektórzy nosili na „ubraniach świątecznych, a nawet na codzień.

Rzemiosło.

Każdy chłop-gospodarz o ile nie był ostatnim niedołęgą umiał klamrę uciąć, podkówki i podkowy dorobić, rozworę do wozu wprawić, grabie i widły zrobić, toporzyska do siekier i młotek ponabijać, powróz ukręcić, płot zagrodzić i tym podobnych robót wykonać. Jeśli jednak chodziło o większe i trudniejsze roboty nie każdy poradził, trzeba było udawać się do rzemieślników. Rzemiosła najwięcej trzymały się rodów przechodząc z ojca na syna, rzadziej je przez naukę zdobywano, nie rzadko i „dobrodziejstwa" ujawniały się talenty niespodziewane. Rzemiosła nikt nie popierał, ani jego rozwoju nie hamował.

Ze względu na bliskość lasu w Wierzchosławicach najwięcej było cieśli. Nie należeli oni do najlepszych, ale w każdym umieli drzewo obrobić i budynki potrzebne postawić. Sprowadzeni przez Zarząd lasów cieśle z okolic Kolbuszowej i Majdanu potrafili za trzech naszych zrobić, wywołując swoją zręcznością zdumienie i zazdrość. Wozy gotowe kupowano przeważnie u Kowala Grudnia w Majniczu, naprawy dokonywał miejscowy gospodarz – Stodolny Paweł Korkiewicz.

77. Z większymi i trudniejszymi robotami Kowalskiemi cho-
dzono i jeżdżono do Stawarza w Łętowicach. Miał on warsztat Ko-
walski doskonale urządzony i kilku pomocników zatrudniał. Z
miejscowych partaczy-amatorów wyróżniał się Michał Ozar. Ko-
walskie rzemiosło raczej improwizował, niż prowadził. Wszyst-
kiego się podejmował, rzadko co dobrze zrobił. Wszystko od szczęścia uza-
leżniał. Udało się to dobrze, nie udało się to trudno. Nieraz się zdarza-
ło że poprawione przez niego wozy rozleciały się za nim, z wsi.
Ludzie się z tego śmiali, i on z nimi także. Zawsze mu przytem cze-
goś brakowało. Kowadło połamane i poszczerbione, młotki mu chło-
paki roznieśli, jak miał węgle, to żelaza brakło; a jak to wszystko
zgromadził, wnet zawsze szwankowało. Wszyscy chłopi byli zgo-
dni że pługom umiał "nagodzić". Oprócz gruntu i tego rzemiosła
bydło w razie choroby leczył. Koniom i ludziom krew puszczał
"bolesne" żeby wyrywał, zapłatę rzadko przyjmował. Ludzki był.
Kunszt bednarski trzymał się rodziny Sroków i dotąd jeszcze
przy nich pozostał. Byli oni sąsiadami Ozara i razem się popierali.
Różnili się od niego subtelnością w robocie i dobrem wykonaniem.
Artystą obdarzonym dużym talentem był Jan Lorkiewicz.
Nazywano go powszechnie "ślepy Jasiek" ze względu na oczy sko-
sisto osadzone. Na skrzypcach wiele rzępolił i stolarstwem
się trudnił. Na jego granie co niedziela ludzie się schodzili, tań-
czyli i co mieć zarobić mu dawali. Przyrządzał na kata-
fory i struny do basów. W czasie wolnym ramy do obrazów stru-
gał, * świętych pańskich zwyczajnym kozikiem rzeźbił i po ce-
nach bajecznie niskich całej okolicy sprzedawał. Stąd też jego
wyroby można było na każdym ważniejszym punkcie spotkać.
Nie tylko napotkać ale także i poznać. Każdemu bowiem świę-
temu jego wyrobu czegoś brakować musiało. Jeden miał głowę spi-
czastą, dziecinną, sztywnie osadzoną, drugi jak ćwierć wołka na
bok przechyloną, oczy wklęsłe, lub wybałuszone, nierówno umie-
szczone. Nos pół twarzy zajmujący, albo maleńki wklęsły, prawie
nie widzialny. Nieraz wyrzeźbiona figura była tak komiczną, że nie-
wiasty najpobożniejsze od głośnego śmiechu wstrzymać się nie mo-
gły. Potrzebne też tych "jego" świątków prawie zawsze wyszukano.
Dość udanym dziełem był "drugi" żołnierz strzegący, naturalnej
wielkości przy grobie Chrystusa na warcie stojący. Tworzył on
to dzieło bardzo długo i cały swój talent w nie włożył. Obecnie
ich [illegible]. Straż przy grobie Chrystusa pełnią ludzie żywi. Lor-
kiewicz tego nie dożył.

Szewców pamiętam kilku. Za najlepszych uchodzili: Ignacy Słomski nazywany „Gałem" Józef Gdowski i Franciszek Mosek. Czynności ich ograniczała się do podszycia butów, przybijania podeszew i zelówek, dawania łat, przyszywania przyszczypków i grubszej naprawy. Całych butów nie robił żaden, chyba na specjalne zamówienie „weselnikom, albo bogaczom." Drobnej łataniny dokonywali przeważnie chłopi sami. Dobrze to nie wyglądało, ale nic nie kosztowało.

Tkackie rzemiosło chyliło się do upadku. Kilku tkaczów który jeszcze z dawnych czasów pozostał, nie wiele miał do roboty. Lnu siano coraz to mniej, miejska tandeta rodzime wyroby rugowała. Tu i ówdzie zasiano jeszcze grzędę lnu lub konopi, ale to tylko na powrozy, postronki, bały, lub na worki. Poddelikacona skóra ludzka wszystkiego odzienia nie znosiła. Śmierć Mateusza Skórki tę dziedzinę pracy kompletnie zamknęła. Len i konopie w śmieci wyrzucono. Warsztaty rozebrano, albo popalono. Duch czasu czy wyrachowanie, błędne?

Dzieci nieślubne

Mieszkańcy Wierzchosławic prowadzili żywot poprawny i skromny. Rozpusta widoczna nadto wyjątek stanowiła. Dzieci nieślubne wyjątek stanowiły. Może także i dlatego, że wobec ich matek złośliwy ostracyzm stosowano. Jeśli się matką miała stać córka gospodarska, oprócz wiecznego dokuczania jej przez całą rodzinę brała powrozy jak się tylko na niej poznano. Nic dziwnego że próby samobójstwa często się zdarzały. Wśród wyzwisk i obelg położnicę do stajni lub szopy wyrzucano, odmawiając jej wszelkiej pomocy. Akuszerkę przeważnie obcy ludzie sprowadzali. O kumotrów się czasem rodzina postarała, ale tylko dlatego by niewinnej duszy nie stracić. Kumotrowie szli, bo trzymanie najducha miało szczęście przynosić. Jeszcze przykrzejszy los czekał sierotę, lub przybłędę, gdy jej się co zdarzyło. Nie jedna z nich pod płotem zmarniała, przez wszystkich opuszczona i potępiona.

Tak matki jak i dzieci nieślubne nie mogły przejść przez wieś nienapastowane, łżone, przezywane, poniewierane. Nawet podrostki wiedziały że matka to kurwa a jej dzieci najduchy i bęki. Dokuczano im na pastwisku, dokuczano przy robocie, nie dano spokoju nawet w kościele. Kończyło się to dopiero wówczas, gdy najduch podrósł, miał silne pięści i umiał ich używać. A najduchy rodziły się przeważnie silne, ładne i udane. Stąd też wiele z nich, szczególnie chłopców wszystko przetrzymało i na ludzi wyszło. Jeden z takich pracowity, zdolny, obrotny dorobił się kilkumorgowego gospodarstwa i powagi we wsi. Nieszczęście chciało że w czasie pierwszej burzy wiosennej piorun go zabił. Ludzie w domysłach przez długi czas żyli.

Lekarze i leczenie. –

Ściśle biorąc życia ludzkiego zbyt wiele nie ceniono. Umarł który chciały najbliżsi no trudno, wola Boża, nikt wiecznie żyć nie będzie. Choroby lżejsze leczono domowemi wypróbowanemi środkami. Chory starał się chorobę przemóc i do łóżka się nie położyć. Jeśli się to nie udało przychodziło smarowanie, podnoszenie [illegible], zioła warzone, żywokost, przez sadło, puszczanie krwi, woda od Urbanka, urzeki, zamawianie, połykanie różnych przedmiotów, mających spowodować zmianę. Wymioty (zioła) nieraz trwały godzinami.

W razie przeciągania się choroby udawano się do guślarza, biorąc ze sobą mocz chorego i koszulę spoconą, przez dłuższy czas niezmienianą. Bez tych przedmiotów nie mógłby guślarz nic zdecydować, ani choremu pomóc. Nie wiem czy guślarze komu pomogli, ale przekonanie panowało ogólne, że choroba jakby na rozkaz ustępowała. Mający swoje konie jeździli do Laskowy i Jurkowy, biedniejsi udawali się do Szynwałdu i Biadolin radłowskich. W Laskowy i Jurkowy kosztowało drożej, w Szynwałdzie i Biadolinach po trzeciakim brano. Za to dostawało się flaszkę wody, doradę i garstkę ziół suszonych.

Do lekarzy panowało prawie ogólne uprzedzenie, chorych przejmował strach, napawała trwoga. Lekarz to rzeźnik i człowiek bez serca, który ludzi rżnie i na drugi świat wyprawia. To też na wezwanie lekarza decydowali się tylko niektórzy i to przeważnie w tenczas kiedy śmierć u chorego była na ramieniu. Lekarz widząc konającego na rodzinę się obruszył, nic zrobić nie mógł, bo cudotwórcą nie był, odjeżdżał jakieś zapłatę pobrał i ujemną opinję o lekarzach jeszcze bardziej umocnił. Wyjątek w tej okolicy prawie jedyny stanowił doktor Ławrowski z Wojnicza. Był dobrym lekarzem, ale dobrym znawcą ludzi i porządnym człowiekiem. Swój zawód lekarski dla dobra ludności wykonywał.

Inteligencja

Do inteligencji Wierzchosławice nie miały zupełnie szczęścia. Posługując się słowami ewangelji trzeba powiedzieć że wielu było wezwanych, lecz bardzo mało wybranych. Kilkunastu uczniów co roku odbywało codzienną pielgrzymkę do Tarnowskiego gimnazjum, aby się niczego nie nauczyć. Wylewano ich też bez miłosierdzia, jeśli nie odeszli sami. ~~Lekarz Józef Pochroń człowiek~~ Tych przeszli przez wszelkie trudności prześladowało jakieś niemiłosierne fatum. Lekarz Józef Pochroń, człowiek niezwykle zdolny i utalentowany, dostał pomieszania zmysłów i zmarł w młodym wieku. Podobny los spotkał jego młodszego brata, sędziego Jana Pochronia. Ks. Niedojadło umarł w młodym wieku nie bez swojej winy.

Ksiądz Adam Bryl nie pozbawiony dużych zalet człowiek, nie mógł się zmieścić w ramach przepisów kościelnych i zaniechać postępowania które nie licowało z jego powołaniem. Władze kościelne miały z nim sporo kłopotów, przenosząc go z jednej parafii na drugą, odbierając mu uprawnienia kapłańskie i przywracając mu je z powrotem. To nic nie pomogło, ks. Bryl pozostał sobą aż do śmierci. Z wódką się nie rozstał, postępowania nie zmienił.

Ks. Wolski Bartłomiej usunięty z probostwa za życie niezbyt przykładne poczuł w sobie natchnienia zupełnie nowe. Uważając się za powołanego wypisuje zawiłe memorjały do różnych mocarzy tego świata i wielkich narodów, wskazując im drogi postępowania. Szczególną opieką otacza Roosevelta, Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Oczywiście że powtarza się historja z Gradem i obrazem. Wolski mówi, ni milknie.

Student medycyny Rzeźnik, rozpił się zanim studja ukończył. Nauki zaniechał, a brnąc coraz dalej, po kraju się włóczył, zapomogi od różnych gmin i pojedynczych ludzi wyłudzał, narażając Wierzchosławice na dwie i niepotrzebne wydatki. Nareszcie sam skutki pijaństwa poniósł, kończąc tragicznie krótki żywot.

Bardzo zdolny student Uniwersytetu Krakowskiego Bartnik umarł na suchoty, rokując jak najlepsze nadzieje. Ze starych jedynie Kosiaty osiągnął stanowisko kierownika szkoły, z młodszych Michał Gdowski spełniał jakiś czas obowiązki profesora, drugi Gdowski z trudem dopełzał do niewielkiej posady na kolei. Do służby kolejowej i pocztowej dostało się kilku na stanowiska podrzędne. Z najmłodszych: Bryl został lekarzem, jego brat sędzią, Głowacki nauczycielem, kilka kobiet nauczycielkami. Jest więc drobna poprawa, szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę że sporo młodzieży ukończyło już gimnazjum, albo jest na ukończeniu. Jednak w stosunku do innych gmin jeszcze niesłychanie mało.

Służba domowa.

Na dziewkę, parobka i pastucha mogli sobie pozwolić tylko najbogatsi gospodarze, musieli ich utrzymywać młodsi niemogący się jeszcze posłużyć drobnemi dziećmi. Wynagrodzenie parobka stanowiło kilkanaście reńskich gotówki na rok i jedna lub dwie przewłoki, czasem nieco więcej. Dziewka się jeszcze skromniejszą zapłatą musiała kontentować, pastuch dostawał odzież i jedzenie. Służba w praktyce nie posiadała praw żadnych, robiła co jej kazano, nie śmiejąc i nie mogąc tak odmówić. A roboty nigdy nie brakło, ani na minutę. Przez lato parobek przez cały dzień był w polu z końmi, w nocy na paszę wyjeżdżał. Ko-

zboże i trawę kosił, żniwiarzom przodował. Pokładał, orał, bronował, gnój woził. Siewu przeważnie sam gospodarz dokonywał. Rzadko się trafiało, aby parobkowi czynność tę powierzył. Gdy u siebie roboty brakło na zarobek wyjeżdżał. Sieczkę rznął, koniom i „gadzinie" koło domu pomagał. Całą zimę młócił, do lasu wychodził i wyjeżdżał, pniaki rąbał, [illegible] wozy przygotowywał. Niejeden z tych parobków służąc przez dłuższy czas w jednem miejscu zaufanie gospodarzy i powagę we wsi zdobywał. Chętnie go widywano na graniach i zabawach. Z tych czasów zachowała się śpiewka chełpliwa: „Parobeczek ci ja na całą gromadę, sieczki rznąć nie będę, z końmi nie pojadę." Śpiewka zostawała śpiewką, a parobek sieczkę rznął i z końmi wyjeżdżał. Nieraz [illegible] młody parobek wkradał się w łaski gospodyni, szczególnie jeżeli gospodarz był starszy i nieporadny. Często po śmierci gospodarza do „komórki" się przyżenił. Stanowiska równego innym gospodarzom prawie nigdy nie osiągnął. Takie były czasy i zwyczaje.

Bezpośrednią władzę nad dziewką sprawowała gospodyni, starając się jak najbardziej ją przez wyzyskać. Głównem jej zajęciem była robota koło bydła i domu. Krowy musiała w porządku trzymać, nakarmić, napoić, wydoić, sery i masło robić, świniom żarcie dawać, z parobkiem wieczorami na chleb umleć, ziemniaki dla świni naszykować, do lasu wylecieć, w żniwa i kopiska w polu pomagać; krzaki znosić, ogromnemi [illegible] nosić, dzieci zabawić i oporządzić, na każde skinienie gospodyni stanąć. Straszne stawało się jej położenie kiedy gospodarzowi lub synom w oko wpadła. Kończyło się to zwykle wybiciem po gębie i wypędzeniem na pysk z domu, bez względu na to w jakim była stanie. Czasem udawało się ładnem i młodem służącem gospodarza zawojować.

Dopóki nie wprowadzono „książek służbowych" jedynym widomym znakiem umowy pomiędzy służącym a gospodarzami zawartej była tak zwana „kolenda" przed Nowym rokiem wypłacana. Odniesienie kolendy oznaczało zerwanie umowy. Aby to miało moc prawną, musiało zawarcie nastąpić, by gospodarz mógł sobie innego służącego namówić. W przeciwnym razie gospodarz zwrotu kolendy nie uznał, a służący lub służąca przez urząd gminny lub żandarma ściągnął. Odwrotnie jeśli co do namówionego służącego się rozmyślił, to go zawiadomił, ale zwrotu kolendy nie żądał. Rzadko się jednak podobne wypadki zdarzały, przeważnie umowy były ściśle dotrzymywane. Z czasem przyszło grube rozluźnienie, któremu ani umowy, ani kolendy, ani książki służbowe nie zapobiegły!

Wdowy i Sieroty.

Nad wyraz ciężkim było położenie wdowy szczególnie gdy została gromadą drobnych dzieci obsypana. A jednak udawało się i to nie rzadko że owdowiałe kobiety dawały sobie całkiem dobrze radę. Gospodarstwo prowadziły, bieżącym wydatkom sprostały, długi mierowskie spłacały, dzieci ~~[illegible]~~ wychowywały, do rzemiosła i nauki dawały. Nie dojadły, nie dospały, ale na swoim stawiały. Wdowa Katarzyna Pokrzywnicowa gospodarzyjąca na kilku morgach gruntu zdołała dwóch synów przez gimnazjum przewlec i na Uniwersytecie utrzymać. Ile ona im zaniosła prowiantów, ile razy była piechotą w Tarnowie; święto, nie święto, deszcz, mróz, śnieg, szpot, niepogoda. A Tarnów od jej mieszkania był o 15 klm. zawsze oddalony. Los zły zrządził że jej wysiłki zostały zmarnowane, bo jak nadmieniłem wcześniej obaj synowie skończyli. To nieszczęście jej nie złamało. Zajęła się córkami i umiała przyszłość im zabezpieczyć. Rzecz dziwna że zalety matki w małej mierze na nie przeszły. Wiele wdów umyślnie nie chciało wyjść za mąż, aby sierotom krzywdy nie zrobić. Rzecz naturalna że nie brakło wdów nieporadnych i lekkomyślnych, które żyjąc z dnia na dzień z biedą się borykać nie chciały.

Dzieci osierocone częstokroć zabierali krewni, lub inni opiekunowie, łakomiąc się na grunt i majątek jaki posiadały. Byli między nimi ludzie będący, ale ci drobny procent stanowili. Przeważna większość starała się tylko zyski ciągnąć, nie zwracając uwagi na przyszłość swoich pupilów. Często musiały wkraczać sądy, aby ich niszczycielskie zapędy hamować. Nie zawsze na czas i nie zawsze skutecznie. Najgorzej się działo pod względem wychowania. To też często z tych sierot prawdziwe dzikie i zbójeckie wyrastały.

Macochy.

Za synonim wszystkiego zła i niegodziwości powszechnie uważano macochy. Nie zawsze słusznie. Były pomiędzy nimi z piekła rodem okazy, ale nie brakło jednostek które pracowały z poświęceniem starając się matkę sierotom zastąpić. Jednostki te coby liczne nie były. Ogromną większość stanowiły kobiety które za mąż wychodziły z konieczności dla chleba. Były to podstarzałe, starsze, wiecznie zdziwaczałe istoty, mające wszystkie staropanieńskie cnoty, przywary i wady. Poszły za mąż bo im się trafiło, ale równie dobrze mogły jechać do Danii, lub iść na służbę do dworu. Tu robiły koło męża i dzieci, tam by obsługiwały cielęta i krowy. Wdowcy starali się przeważnie brać kobiety, po których się dzieci nie spodziewali. Oczywiście że się często dokumentnie zawiedli. Wieśniacy też pamiętali, że kiedy stary bierze młodą oblubienicę, zasiewa dla cy-

obcych wróbli przepędził". Biada tym którzy o tej prawdzie zapomnieli. Przypominali sobie wnet nieboszczkę powtarzając z żalem: „Bodaj się orał z wołem stykał", najgorszy nową żonę dobierać. Każdy potem wdowiec ostrożnie ciągnie. Widząc piekło w domach i dzieci marnowane przez macochy bardzo wielu wdowców się nie żeniło, szczególnie gdy dzieci były podrośnięte i z życiem się zgodziły. Odstraszający przykład stanowiła między innymi druga żona Wojciecha Rozmusa Katarzyna. Nazywano ją wilczycą. Może dlatego że pochodziła z rodu Wilkiem nazwanego, a może ze względu na jej postępowanie. Dzieci po nieboszce pierwszej żonie Rozmusa, biła, szturchała, głodem morzyła, z domu wyrzucała. Mrożone, nieoprane, głodne, nie myte, nieubrane, siedziały zimą nieraz w szopie, albo się po wsi poniewierały. Nie mogąc znieść tej dzikiej, strasznej udręki jedne skołczały inne pomarły. Rozmus stary i zmaltretowany przez żonę i jej dzieci nie był w stanie nic zmienić. Ludzie głośno zgrozę okazywali; wójt się upominał, ale zawziętej babie nic nie pomogło. Do wójtu ją zawlekli, w budzie się przesiadywała i to samo co przed tem robiła.

Jarmarki.

Jarmarki całą wieś niemal stawiały na nogi. Każdy miał jakiś interes. Nie kupić to sprzedać, a co najmniej pomiędzy bydłem, świniami i gratami się rozejrzeć, aby się zorientować w cenie i nie dać się oszukać. Na jarmark waliło wszystko jakby procesjami. Gospodarz z cielną krową, lub z jakąś cieliczką, świnią, rzadziej z koniem. Gospodynie ze serkiem, osełką masła i jajkami. Chłopaki mieli skórki królicze na widełkach nawijane, czasem wiązankę smolnego drzewa, bijak do cep i kilka mioteł brzozowych. Oczywiście dotyczyło to uboższych, gdyż bogatszym by nie wypadało. Dziewuchy szły czasem matkę zastąpić, ale najwięcej aby się pośmiać, porozmawiać, paciorki lub chusteczkę kupić, z koleżankami się zobaczyć, ludziom się pokazać. Każdy też miał coś większego, lub mniejszego kupić. Funt soli, flaszkę nafty, kawałek mydła, szkło do lampy, dziecku ołówek, buciki, kosulinę, do apteki lub drogerji wstąpić. Jarmarkiem były także zainteresowane dzieci pilnujące doma, bo cały czas wyglądały, kiedy matka wróci i bułeczkę, kukiełkę przyniesie. Terminy okolicznych jarmarków były tak ułożone, że oprócz niedzieli i soboty, w każdy dzień tygodnia się odbywały. Byli też tacy co ani jednego z nich nie opuścili. Miały one też swoje specjalne właściwości. W Wojniczu kupowało się buty, powrozy, przetaki, różne graty i naczynia, sprzedawało bydło i konie. Dobrego konia można było kupić w Żabnie, kulikę w Brzesku i Dąbrowie. Tam byli kupcy, którzy dychawiczne konie zaprawiali, sprzedając je za zdrowe. Chłopi nieraz oszukani na jarmarki tam rzadko chodzili. W Radłowie masowo nabiał i drób sprzedawano. Świnicki jarmark świecił prosiakami. Do Tarnowa wyjątkowo na wielkie jarmarki chodzono. Najwięcej kupowano tam ~~sa~~ sadło, które chłopi od Ropczyc całemi wozami przywozili, tanio sprzedawali.

84. W czasie jarmarku aż do wieczora wszystkie szynki w mieście były przez chłopów po brzegi nabite. W zimie piło się rozgrzewkę, w lecie na ochłodzenie. Pili znajomi i kumotrowie radzi że się we zdrowiu znowu spotkali. Pili ci co coś sprzedali, dawali litkupu ci co kupili. Wszystko jedno, było okazji znaleźć. Osobno zasiadały się kobiety kurzyły[?], lecz wódka tak rozmaitym, że spojrzały by się panny w połogu uczywoi[?]. Ale to niektóre Przewarnic kobiety piły siedząc razem z mężczyznami. Między tą ludzką ciżbą spoconą, pijaną uwijali się żydki, mając wszystko na oku, donosząc każdemu co potrzeba. Podchmieleni, rozmarzeni, rozśpiewani chłopi płacili co im kazano, bo sami policzyć nie mogli. Burd robić nie śmiali, bo się żandarmi wpodal kręcili. Na każdym prawie jarmarku w Wojniczu można się było natknąć na oryginalną postać kobiecą. Była nią najbogatsza gospodyni z Dębiny Łętowskiej, niejaka M. Czerwka[?] jak burak, wysoka, silnie zbudowana, piła wódkę kwaterkami, paliła fajkę, śpiewała i pluła. W czasie jakiejś zwady waliła chłopów po gębie, gdy tylko pod rękę podeszli. Rzadko się trafiło żeby kto oddał i z nią się nie zwalił. W czasie jednego jarmarku podochocona zaśpiewała sobie na cały głos: Trzeba by się Pana Boga zabawić, żeby mnie mógł Czerwoneczka[?] zostawić. Za chwilę dano jej znać, że całe gospodarstwo stanęło w płomieniach. Gospodyni wytrzeźwiała. Po powrocie z wielkiego gospodarstwa została kupka popiołu. Pan Bóg się zbył długo nie potrzebował bawić, ludzie się przerazili.

Powrót do domu był prawie zawsze wesoły. Podpici chłopi nie ominęli żadnej karczmy po drodze. Przynajmniej półkwaterek wypić należało. Ponieważ szynków „po drodze” było przynajmniej kilka, nic dziwnego że się późną nocą do domu dotarło. W czasie[?] dobrze w noc słyszeć można było często wyjącą śpiewkę: „Chłopcy pijący mamie pojmiecie, a od samej Uszczawy Karczmy nie ominiecie.” Śpiewali ją spóźnieni jarmarcznicy odświętni i dumni ze siebie.

Odpusty.

Odpusty powszechnie rozumiano jako przyjemną wycieczkę połączoną z różnemi przygodami i wydarzeniami. Wysłuchało się cząstki kazania, spotkało znajomych, pomówiło się porozmawiało. Dziewczętom kupiło jakieś serce z ciasta, albo z piernika korale. Nie wiele to kosztowało, a było wszystko cenione. Chwalić Boga jeździło do ... [illegible] i pokłonić się przyszło. Na takie odpusty w parafiach okolicznych przeważnie młodzież uczęszczała, zupełnie na[?] wypas[?] ... [illegible]. Częściej jednak szło o pielgrzymki zorganizowane udające się do miejsc cudownych jak to: do Odporyszowa, Tuchowa, a co najważniejsze na Kalwarję Zebrzydowską. Tam się musiało[?] [illegible] poddać i znacznie dłużej zabawić.

Pielgrzymki gromadne udawały się na Kalwarję dwa razy do roku. Dopóki chodzono pieszo, czas podróży i pobytu na odpuście trwał blisko dwa tygodnie. Jednak kolej zmniejszała ten czas ~~bli~~ prawie o połowę. Pielgrzymki czasem prowadził proboszcz, przeważnie zaś chłopi do tego udani. Długie lata przewodnikiem był zamożny gospodarz Stanisław Gdowski, zwany „Charbonem". Wszyscy widzieli jakiemi pobudkami się kierował. Lubił wypić, trochę grosza uzbierać, a o lepszej okazji trudno pomyśleć, ludzie dawali i nic nie mówili. Po nim przewodniczył Franciszek Śledź, człowiek skromny, trzeźwy, nie wymagający. Pod jego komendą sam taką pielgrzymkę odbyłem. Po śmierci Śledzia przewodzili Sorkiewicz Ignacy i Wojciech Skórka. Pielgrzymkom tym nadawano, a przynajmniej starano się nadać charakter manifestacyjny. Pielgrzymi wychodzili z Wierzchosławic po nabożeństwie dla nich odprawionem. Całą drogę się modlili, lub pieśni śpiewali. Przed samą Kalwarją pielgrzymującym po pierwszy raz wciskano na głowę koronę cierniową. Płaciło się za nię po kilkadziesiąt halerzy. Po 20 halerzy kosztowało przemówienie przewodnika koło figury Matki Boskiej wygłoszone, mające za cel przygotowanie duchowe pielgrzymów przed wstąpieniem na poświęconą kalwaryjską ziemię. Ciągnął on też swoje żałosne wywody tak długo, dopóki się wszyscy obecni łzami nie zalali. Przed samem klasztorem witał pielgrzymów jeden z kalwaryjskich księży. To już kosztowało znacznie więcej, ale ludzie chętnie dawali. Nie mogło być inaczej.

Wszyscy pielgrzymi oddawali się cały czas nabożeństwom, trwali na modlitwie, obchodzili stacje męki Pańskiej, sakramenta święte przyjmowali, a często się także pomiędzy sobą kłócili. I tam się także powody znalazły. Szczególnie pomiędzy kobietami, które liczbą kilkakrotnie mężczyzn przewyższały. Po skończonych ceremoniach szli z powrotem razem, a pielgrzymka się dopiero w kościele swoim rozwiązywała. Bardzo wiele kobiet całą drogę odbyło ~~tam~~ bosą nogą. Przez długi czas panowało przekonanie, że kto pielgrzymki pieszo na Kalwarję nie odbędzie, ten się do nieba nie dostanie.

Czas pielgrzymowania i pobytu w Odporyszowie trwał dwa dni, w Tuchowie dwa razy więcej. Do Tuchowa kilka razy do roku chodzono. W ostatnich latach odpusty bardzo wiele straciły. Ludzi chodzi mniej i inaczej nastrojonych. Gdyby nie kolej byłoby jeszcze gorzej.

Wesela.

Do wesela gotowano się długo i wszechstronnie. Deliberowano nad każdą osobą i każdym szczegółem. Trzeba było uwzględnić: honor, interes i ludzi nie pogniewać. Zamawiano starostę, drużbę, drużki i muzyków. Z drużbą się co do skrzypków porozumiewano. Szukano

za końmi, siodłami, dobrym furmanem. Prano, krochmalono, prasowano płótnianki i inne łaszki, czerwonych czapek przyszyto. Zamawiano w karczmie wódkę i piwo, pieczono kołacze i placki, za bydłem na mięso się oglądano. Nie zapomniano o kucharkach i różnych zielach, pieprzach, kminkach, przyprawach. U bogatszych wesele trwały cały tydzień, z wyjątkiem soboty i niedzieli i piątku, u biedniejszych dwa dni. Wesela nie grane, w sześciu rzadko się zdarzały. Każdy się chciał postawić, aby sobie i rodzinie wstydu nie zrobić. U ludzi się bywało trzeba im oddać. Po co mają kogo na języku nosić! Działo się to i wówczas kiedy całe wesela odbywało się na pożyczane. Zasada: zastaw się a postaw się w całej pełni miała zastosowanie.

Wesele się zaczynało od całonocnej muzyki i tańców, które się u starosty, najstarszej drużki, a czasem i u drużby odbywały. Starosta z tej okazji częstował wódką i piwem, karmił kołaczami, u najstarszej drużki piło tylko wódkę, a czasem i na sucho czyniono. Zakończono o chwili najpóźniej. Na te granie nikomu ze wsi wstępu nie broniono. Cała wieś hulała.

Z brzaskiem dnia czyste i świąteczne towarzystwo, rzadko umyte i przebrane, udawało się do panny młodej, a stamtąd do ~~pana~~ kościoła. Starosta, drużki, ojcowie, drużba, państwo młodzi jechali na wozach, młodzi na koniach harcowali. Wszystko w białych płótniankach, lub sukmanach, wszystko po polsku wystrojone. W tyle ciągnął sznur furmanek z gośćmi i krewnymi. Całą drogę i wszyscy śpiewali, co umieli. Muzykanci zostawali zwykle w karczmie, rzadko się do kościoła udawali.

Po powrocie z kościoła zaczęły się tańce i „bałowanie" u ojców panny młodej. Odpowiednim ceremoniałem prowadził je starosta, a za nim niżsi rangą urzędnicy wesela. Za nimi szli dopiero zwyczajni „cywile". Na wesele sproszono: możliwie najwięcej krewnych, bliższych sąsiadów, jeżeli byli warci, tych co im się trzeba zrewanżować, czasem proboszcza, organistę, leśniczego, nauczyciela. Weselnicy widzieli ich niechętnie, bo się musieli krępować. Lepiej im było, gdy nikt taki na nich nie patrzał.

<u>Do każdej części wesela</u> szukano odpowiednich śpiewek. I tak: Przed odjazdem wesela przy pokropieniu i błogosławieństwie młodymi:

1. Przeciągnij mnie Maluś prawą rękę na krzyż
Bo ty ostatni raz na mój wianek patrzysz.
Przeciągnij mnie Maluś do trzeciego razu,
Bo mnie już nie ujrzysz w wianku ani razu. lub:
<u>Błogosław Ojcze</u> mój: Bo już idę na ten ślub,
Błogosławże matko moja, Bo już idę do kościoła

Weselnicy.

2. Prosili mnie na wesele bo ja nie będę,
Ni stołeczka, ni ławeczki, na czem se siędę.

87. 3. Wychodzi Maryś z izby. Nie rób bratu ciżby.
Dosyć narobiła, Jakoś panną była.

4 Czyś się nas tu pani Matko nie spodziewała:
W izbie dotków w sieni dotków nie porównała:

5 Czyście nam tu radzi, czyście nas nie radzi.
Bo się nas tu wielka gromada prowadzi

6 Na piasku kołysz mam, Dziurawe okno mam
Piasek w nim leci, zjadają go dzieci.
Choć piasek zjadają, dobrze wyglądają,

7. Idź dziadu przed Kościół, tam miejsce dla ciebie,
Jak będziesz biedniejszy, prędzej będziesz w niebie.

8 Kazał ci mi ksiądz, tatarczyczkę żąć, a ja mały nie wziąłby.
Nogi ~~mi~~ by mi powstały, nie mogłem się zgiąć.

9 Oj świeci się świeci na ołtarzu krzyżyk, pamiętaj Wojtusiu coś Marysi przyrzekł
Przyrzekłeś jej wstążkę i korali wiązkę. Ona tobie wieczkę i złotą obrączkę.

10 Nie pójdę nie pójdę od ojca, bez wiana, bo mi się należy kożuch i sukmana.
Tatusiu matusiu ja córeczka wasza, Kupcie mi korali do samego pasa.

11 Posadzi kopiołeczek na rozstajnej drogi, zjadłby go tam wilki zostawili nogi.
W jednym wózku babcia tabaczkę nosiła, W drugim wózku babcia pogłaskii wsypała.

12. Od komina do przypiecka, czarna moja zapaseczka.
Bo mi czarną mama dała, żebym chłopców nie kochała.

13. Poszłabym za ciebie, bo mi się podobasz
Ludzie mi cię ganią żeś ty nie gospodarz. Ludzie mi cię ganią, ludzie
mi cię bronią. Oczy moje płaczą, kiedy cię nie widzą.

14. Żeniłbym się z tobą mam po tatym wołu, żeby ci matusia zapisała rolę,
Zapisała rolę, zapisała pole, żeniłbym się z tobą, mam po tatym woły.

15 Zachodźże słoneczko, kiedy masz zachodzić, bo mnie nogi bolą za bydłem
chodzić. Zachodziło słoneczko za wysokie wrota, boże Boże czarnki
obstąpiły kota. – Jak go obstąpiły tak go zgotowały. Swoim kawalerom po ka-
wałku dały.

16 Śpiewali kubali coś nasi ojcowie, I my też będziemy jako ich synowie.

17 Tobie świeci miesiąc, a mnie świecą gwiazdy.
Ciebie kocha jeden, a mnie kocha każdy.

18 Podlesianie jadą z taborami, Kasza, co miłe sadzą, Koniki popasą.

19 O moja matusiu dajcie mi cukrusiek, ja nie chcę majątku, lecz tylko gębusię.
Skoro za rok za dwa gęba się przejadła, dawaj matko wiano, byś sto djabłów zjadła.

Przy czepinach również innemu śpiewano:

20 Oj chmielu pijanie ziele, nie będzie bez ciebie żadne wesele
~~Nie będzie bez ciebie żadne wesele~~ Żebyś ty chmielu po tykach nie łaził
Nie robiłbyś ty z panienek niewiast. Ale ty chmielu po tykach
łazisz, nie jedną panną wianeczka zbawisz.

Oj chmielu, chmielu szeroki liście, Wszystkie Marysi zazdrościcie.
Wyjrzała spod nalepy żabka, zrobiła się z pani młodej babka.

Pannę młodą dla dokonania czepin sadzono na dzieży. Niby na to żeby jej chleb darzył i udawał. Czepiny położyły na włosienie jej na głowę chustki związanej tak jak wówczas wszystkie niewiasty nosiły. Było przytem trochę ceregieli z wykupnem jej przez pana młodego i ze śpiewami. Ta ceremonia ongiś należała do najważniejszych części wesela. Obecnie nikt jej nie urządza a niewielu już pamięta.

Najczęściej w pierwszą niedzielę po weselu urządzano poprzewiny. Było-to jakoby dalszym ciągiem i zakończeniem wesela. Odbywały się w domu gospodarza, ale nie on lecz weselnicy je swoim kosztem urządzali a gospodarz, był gościem właściwie. Najwyżej jeśli kazał placków upiec, lub chleba ze serem dostarczył. Resztę goście weselni ~~co~~ robili w myśl znanego przysłowia: dobre twoje, dobre nasze. Gospodarz się nie gniewał.

Na wesela pchała się nieproszona młodzież z całej wsi, a nawet okolicznych. Ażeby nie zabierała miejsca weselnikom wyznaczano jej część izby po pierwszy drążek od ściany, a jeśli się zachowywała dobrze pozwalano jej potańczyć. Starsi mężczyźni i kobiety wyglądały za oknami. Bójki i kłótnie rzadko się zdarzały. Ludzie byli spokojni, o honor dbali. Jeżeli ktoś się zapomniał, to mu szybko wyperswadowano. Starzy chłopy w kaszę sobie pluć nie dali i prawo za sobą mieli.

Opis mój dotyczący uroczystości weselnych wcale nie jest dokładny. Powody tego w tym że się wiele zapomniało, bo to czasy nie dzisiejsze, a ponadto zabaw weselnych nie znosiłem i rzadko się na nie udawałem.

Chrzciny

Na ojców chrzestnych dla pierwszego dziecka starym zwyczajem proszono starostę i drużbinę, lub odwrotnie. Do trzymania do chrztu dalszych dzieci starano się zdobyć takich kumotrów, coby z nich było jakie korzyści, a przynajmniej honor. Oczywiście w rachubę wchodzili zawsze bliżsi i dalsi krewni. Słabe dziecko chrzciła akuszerka „z wody" zaraz po urodzeniu dając imię dziadków, albo jeszcze dalszych przodków. Zawsze: Jana, Jakóba, Stanisława, Wojciecha, Maryi, Katarzyny, Zofii. Kierowali się przy chrzcie tych imion trzymali. Dopiero Ks. Franczak przewrócił wszystko do góry nogami, dając nowym „chrześcijanom" imiona cudaczkie, których ludzie nie znali i nawet wymówić nie mogli. Stąd przy każdym chrzcie nie mało sporu, a w domu płaczu, narzekania, jakby na jakąś wielką krzywdę przez proboszcza osobiście wyrządzoną. Żartownisie te nowomodne imiona przekręcali i nie jeden z włościan kpił, dając Ks. proboszczowi temat do gorliwej obrony wprowadzonych nowości.

Na chrzciny dawano butelkę flaszek wódki ćwiartkę piwa albo więcej, stosownie do zamożności i potrzeby. Rzadko się też kołaczów obchodzono. Po skończonej libacji goście po cichutku na nowe przyjęcie się składali, żeby czyjego nie psuć jak chowany." Czasem przyjęcie odkładano na drugą niedzielę. Wcześniej czy później, ale nie darowali.

Ceremonialnie odbywało się w czasie chrzcin. Kąpiel noworodka przez akuszerkę i kumoszki przygotowano. Każdego z gości zapraszano do spróbowania, czy woda jest należycie ciepła, a przy tej sposobności opłatę zbierano. Każdy z gości rzucał po kilka miedziaków do wanny z wodą i noworodkiem, a akuszerka troskliwie je wyławiała. Bardzo wielu ojców chrzestnych i matek o chrześniaków naprawdę dbało, a nieraz część nawet części majątku wyposażało. O ile swoje dobro na to pozwalało.

Pogrzeby

W razie śmierci członka rodziny chodzono do proboszcza, żeby "pogrzeb utargować." Wyrażenie to stale zresztą używane nie miało żadnej podstawy. Za Ks. Rybickiego targi były niepotrzebne. U Ks. Frenzaka nie dało się jednego halerza utargować. Powiedział i nie ustąpił, nawet nie pozwolił. Pogrzeby zostały na kilka klas podzielone. Pogrzeb z całemi wiliami, mszą świętą, dzwonieniem we wszystkie dzwony, wyjściem Ks. po ciało kosztował najdrożej. Pogrzeb tylko z pokropieniem przed drzwiami kościelnemi trumny z ciałem wypadał najtaniej. Jeśli nie miał kto zapłacić za pokropienie nieboszczyka prosto na cmentarz niesiono. Za Ks. Rybickiego nie zdarzyło się to nigdy, za Ks. Frenzaka rzadko, bo w razie konieczności gmina tę drobną kwotę pokrywała. Ks. Frenzak za "dziadów" nic nie prosił.

Bogaci zamawiali u stolarza trumnę "wydymaną" i malowaną na kolor orzechowy przeważnie; ubogim zbijano skrzynię z całych desek często nie heblowanych. Do trumny oprócz różańca i szkaplerza często wkładano rzeczy drobne, w których się nieboszczyk specjalnie lubował. Z domu żałoby wyprowadzano ciało nieboszczyka po odmówieniu przez śpiewaka odpowiednich modłów i przemówień. Także i w imieniu nieboszczyka wypowiadanych. Kondukt pogrzebowy toczył się powoli, stając przed każdą figurą dla odmówienia krótkich modłów. Udział w pogrzebie brali krewni, bliscy i znajomi. Jeśli Ks. nie był na cmentarzu, śpiewak dokonał ostatnich modłów i pieśni pożegnalne z ludźmi odśpiewał. Rzuceniem grudek ziemi na trumnę przez obecnych kończono obrzęd pogrzebowy. Na pogrzebach bogatych Ks. mówił egzortę stawiając mądrość, dobroć, sprawiedliwość i inne cnoty zmarłego. Na mogiłę składano kwiaty i robiono znak, aby jej nie pomylić. Śpiewakowi dawano bochenek chleba, lub gotówkę, za jego usługi. Umarłemu i żywym świadczone. Dziadów kościelnych także chlebem obdarowano.

Bogatsi po pogrzebie urządzali stypę, częstując krewnych i specjalnie przez rodzinę zaproszonych. Wszystko to dla nieboszczyka i w nieboszczyka robiono. Za spokój jego duszy i wieczne zbawienie dawano na msze i wypominki. Rzadko na cały rok, częściej na kilka niedziel. Na intencję zmarłego dawano jałmużnę żebrakom, którzy się zaraz głośno i żałośnie w oczach ofiarodawcy modlili.

Kiedy o duszę zmarłego na ogół jako tako dbano, groby były przeważnie zaniedbane i opuszczone. Z tem co w Czechach widziałem niema żadnego porównania. Tam wszystkie cmentarze, ale to wszystkie bez wyjątku, w mieście i na wsi wyglądają jak ogrody najlepiej utrzymane. Groby parokrotnie w ciągu roku odnawiane, kwiatami ozdabiane. A u nas?

Jeszcze niektóre uwagi.

Równolegle z emigracją do Ameryki choć nieco później poszła fala emigracji do Danji, a następnie do Niemiec i Szwecji. Miała ona inny charakter zupełnie i inne wchłaniała elementy. Do Danji przeważnie jechały kobiety, pracowały przez 8–9 miesięcy, potem wracały do domu, aby znowu wczesną wiosną wyjechać. Duńczycy obchodzili się z niemi bez zarzutu, dobrze i rzetelnie płacili. Umów zawartych ściśle się trzymali. Zarobek roczny, a raczej jednego sezonu wynosił tyle że można było dwie dobre krowy kupić. Ze zarobkiem w kraju nie było żadnego porównania. Oprócz zarobku w gotówce emigrantki wracały obładowane różnemi rzeczami, za tanie pieniądze nabytemi, okrywając niemal całą rodzinę. Na stosunki w Szwecji robotnice narzekały, określając Szwedów, jako ludzi zimnych i złośliwych. Emigracja do Niemiec ogarnęła całą wieś. Robota była ciężka, zarobki dobre. Przyszła ona w samą porę, bo po zakazie emigracji do Ameryki Północnej.

Sporo robotników wyjeżdżało do Morawskiej Ostrawy. Pracowali przeważnie w kopalniach i dobrze zarabiali. Oszczędności jednak wielkich nie robili; do domu wracali obciążeni [illegible] nawykami.

Ciężkie nad wyraz ciężkie położenie chłopów pogarszał jeszcze brak zrozumienia dla spraw publicznych. Za przykry ciężar była uważana warta gminna kolejno przez wszystkich odbywana. Niech robi każdy pilnuje swojej chałupy, stale powtarzali pokrzywdzeni. Za wielką krzywdę uważano nakaz usuwania śniegu, aby można drogami przejechać. Każdemu to było potrzebne, ale każdy narzekał, wymyślając na wójta i innych „tyranów”. Do prac szarwarkowych wyjeżdżano i wychodzono jak najpóźniej. Przez cały dzień się wałęsano i robotę właściwie udawano. Długo południowano, mało na wóz nabrać, jak sroce na ogon, kołkami i wozu co trochę stukać; byle czas stracić i do domu odjechać. Cała ta wielka robota do której całą wieś zgoniono wyglądała jak modlitwa Rusina którego do cerkwi zapędzono. „Pójdę bo muszę ale ani pyskiem nie ruszę!” Droga po tej naprawie błotem wyglądała niemal daleko gorzej niż przed nią. Strach bierze gdy trzeba przejeżdżać.

We wsi niema sikawki do gaszenia ognia, niema straży ogniowej. Ludzie się bronią przed tem rękami i nogami. Przychodzi nakaz. Każde gospodarstwo ma się postarać o osękę na żerdzi i wiaderko na wodę. Krzyki, narzekania, bunt nie lada. Poco to wszystko, przecież ognia niema. Wybucha pożar. Cała wieś biegnie tam z głośnem lamentem i gołemi rękami. Niektóry wyłazi na dach swego domu z konewką wody, inni wynoszą na pole obrazy. To ma być przed ogniem skuteczna obrona. Pożar

91. się wsery. Setki ludzi stoi koło ognia, inni się przypatrują. Ponie-
waż niema żadnej komendy wszyscy radzą, nikt nie słucha, Robić
ma każdy inny, tylko nie oni. Wpadają żandarmi jak burza. Spo-
czątku krzyczą, nawołują, gdy to nie pomaga zaczynają płazować, Krzyk,
wrzask i ucieczka do domu. Niektórzy przynoszą stare dziurawe kuczynie
by dobrego nie stracić, inni się żandarmom z oczu pokazali. Niezara-
dność, bezmyślność, wstręt do organizacji. Ogień zbiera straszliwe żni-
wo. Po ogniu to samo co przed nim. Przecież się zawsze nie będzie paliło.[1]

Zboże w najwyższym stopniu zachwaszczone. O lepsze walczą mię-
dzy sobą: stokłosa, miotła, kąkol, wyka, oset, wierzbówka i jak się tam je-
szcze różne pasożyty nazywają. Wszystko jest tylko zboża niema. Chleb z[2] te-
niego wygląda jak głowa murzyna. Często zboże do siewu nie drogo przy-
daje. Gospodarz ma nawet pieniądze ale kupić nie chce. Sieje co zebrał, ale
swoje. Da Bóg dobry rok, to urodzaj będzie. Oczywiście rodzito to co zasiano.
Chwasty, chwasty, chwasty. Tak trwało całemi długiemi latami. A i teraz
jeszcze takich nie brakuje. Jedni chcą mieszkać w pałacu, inni tylko w norze.

Ażeby nikomu krzywdy nie zrobić nadmieniam jeszcze, że wzienkowa-
wianie były znane w okolicy jako najlepsze. Koniarze. Ich też wynajmywano
do koszenia łąk najgorszych, suchych, nierównych, szczeciniastą trawą poro-
słych. Płacono im dobrze, karmiono, wódką, a często i piwem pojono. Z tej kosi-
ki kmiecej chłop przynosił do domu tyle chleba, sera, słoniny, że wystarczy-
ło dla rodziny na kilka dni. Nic dziwnego że na to jak na wielkie zda-
rzenie oczekiwano. Skończyło się gdy kmiecie przestali łąki w lesie kupować.

Roboty dzielono na konowe, zwyczajne i uwłaczające. Do robót kono-
wych pora ze mną należały: orka, kosiarka, zasiewy. Przy nich się, jak
i przy zwózce zboża i siana, bez flaszeczki wódki nie obeszło. Młócka, sadze-
nie, okopywanie ziemniaków i innych jarzyn, żniwa, kopanie ziemniaków,
grabienie siana i koniczyny, jak i wszelkie czynności wykonywane w polu,
domu, w lesie należały do robót zwyczajnych, gorzej od tamtych płaconych.
Zabicia psa, uduszenia zawzionego kota, zdechłego konia, zakopania niezdatnej do
spożycia padliny, a nawet omycia nieboszczyka w razie odmiennego odo-
ru, podjąć się mogli tylko ludzie niektórzy: biedą zmuszeni, mający
wciąż przylepiony, lub strasznie twardej natury. Takich udawało się bar-
dzo nie wiele. Byli potrzebni, a równocześnie pogardzani, prawie za
wyrzutków uważani. Ostatnim z nich Pronobis, bardzo uczciwy człowiek.

Zapomniałem we właściwem miejscu zanotować, że muzykantami
z bożej łaski byli dwaj bracia Fornale: Jedny i Mikołaj. Wszyscy się o
nich dobijali; na każdem weselu mieć chcieli i drożej niż innym pła-
cili. Fornale grali, sił dokładali, pieniądze brali i całe gospodarstwo
przy tem stracili. Dlaczego się tak stało, ich tajemnicą zostanie. W tych
czasach najlepszym we wsi stolarzem był N. Bodziach. Mieszkał tuż ko-
ło plebanii; przeniósł się na małe gospodarstwo w Lustawicach.

Do wad, którymi się Wierzchosławianie odznaczali, należy dodać ich dziwną słabość do Żydów, przechodzącą w silne przywiązanie. Przekonałem się o tem po założeniu sklepu Kółka rolniczego. Swój handel, towar nawet lepszy czyniły takie samo. Karbowanie żydofilów, przez lata nie zapobiegło, aby dwa żydowskie sklepiki mogły się we wsi utrzymać. Chyłkiem, wstydliwie ale je ludzie stale odwiedzali. I to nieraz ci, co w Kółku większe poniesione miała. Nie wiem czy słusznie, ale do nich probostwo i leśnictwo zaliczano

Ominęła eskapada Knopików do Brazylii, nie pociągła za sobą wielu naśladowców, mimo optymistycznych listów jakie stamtąd pisali. Wyjechało kilku młodszych. Między nimi Jan Łorkiewicz, który po krótkim tam pobycie do Ameryki Północnej wyjechał. Natomiast w Ameryce Północnej kilka setek utonęło. Na parcelacji bliższe wyjechali: Sobonie do Szczepanowic, Łeby, Bachorze, Sendzie, Bodziachy do Zułowic, Piotr Łorkiewicz do Jastrząbki, Bryl do Siedlisk, Augustyn Łorkiewicz wyjechał na Morawy, skąd przywiózł biedę i język zepsuty. Sporo ilość poszła na grunta do Wschodniej Małopolski, Poznańskiego, Pomorza. Drobna część na osadnictwo wojskowe, kilku na Kresy wschodnie.

Wskutek tych przesunięć wieś straciła w znacznej mierze swej fizjognomii. Sąsiedztwo Kolei, lasu, Dunajca, bliskość Warsztatów Kolejowych a następnie zakładów mościckich ściągały wielu robotników przeważnie z powiatu brzeskiego i dąbrowskiego. Znalazło się nawet kilku Ukraińców. Inne twarze, inne nazwiska, inny sposób postępowania. Nie ubliżając im, trudno nie zaznaczyć, że żadnych lepszych walorów nie wnieśli. Większość kieruje się wiatrem. Gdzie wiatr wieje, to i oni tam szli. Byli chadowcami, poszli do socjalistów, gdy ci coś ważyli, byli z nadeciakami pomyjowi, wyglądowali u sanatorów, gdy ci doszli do władzy.

Kilkanaście rodzin się [wyświetło] skończyło z powodu braku męskich potomków, inne wskutek bezdzietności. Inne uległy jakiejś degeneracji, wydając matołków. Owych ogromnych bajecznych chłopów prawie na pokaz niema. Nowe pokolenie ogromnie skarlało. Dlaczego? Tamte olbrzymy miały jeszcze twardszy żywot, mimo to fizycznie i moralnie stały wyżej. W ich tęgich ciałach i duch mieszkał zdrowy. Byli niewolni czasem prostaccy, nieokrzesani, ale szczerzy, otwarci, przyjacielsko nastrojeni. Oczywiście nie brakło wyjątków między jednemi i drugiemi. Starzy jednak górowali, bezwzględnie górowali!

BIBL. Z.N. IM. OSSOLIŃSKICH